N. 51. WARSZAWA d. 11 (23) Grudnia 1871 ROKU

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

W ALBUMIE MŁODEJ POETKI

PANNY Ł....

Nuć, śpiewaj dziewico
Z zapałem, z tęsknicą,
Nie braknie ci tonów do pieśni,
Jest młoda moc ducha,
Rad każdy posłucha
Kto nie ma na sercu swém pleśni.

Zstąp duszą do ludu,
Wśród cierpień i trudu
W natchnieniu tam święta prostota;
Bierz z dzikiéj téj góry
Najbielsze marmury,
Co wyjdą posągiem z pod dłóta.

Tam jeszcze są wszędy
Podania, legendy,
Tam jeszcze są skarby dla piewcy,
Zgodź w chorał ich głosy,
Zbierz w snopek te kłosy
Boskiego oracza i siewcy.

Lecz pilnuj granicy,
Skrzydłami orlicy
Nie lataj za chmury do zbytku.
Patrz, wybrał skowronek
Słoneczny przedsionek,
Lecz w słońca nie stanął przybytku.

Myśl twoja skrzydlata,
Dziś rwie się do świata
Z twéj cichéj rodzinnéj zagrody,
Lecz świat ten nie święty,
Tam brudy i męty,
O! nie trać duchowéj swobody!

Gdzie strzecha rodzinna,
Jaskółko niewinna
Lep swoje serdeczne gniazdeczko,
Ta piękna Warszawa
To chaos i wrzawa,
Ogłuszy cię wiejska ptaszeczko.

Tam grajek szalony
Poplącze ci tony,
Co w piersi dźwięczyły uroczo,
Trwożliwie i łzawo
Pogonisz za sławą,
A ciebie szyderstwem otoczą.

Rzuć miłość tę własną,
Poziomą i ciasną,
Ukochaj li piękno i sztukę,
Zaśpiewasz wśród ciszy,
A świat cię posłyszy...
Lecz daruj, że piszę naukę.

Jerzy Laskarys.

LISTY

AUTORKI KRONIKI ZAGRANICZNÉJ

w Bibliotece Warszawskiéj.

Po klęskach jakie dotknęły Francją i stagnacji literackiéj jaka w skutek nich nastąpiła, wszystko zaczyna pomału ożywiać się i ruszać. Z każdym dniem wychodzi mnóstwo książek, większa część ich poświęcona świeżym a nadzwyczajnym wypadkom, co wstrząsnęły do gruntu społeczeństwem. Jednak wśród tego nawału dorywczych publikacji, spotykamy i czysto literackie prace. Są to dla myśli jakoby zielone oazy, gdzie miło jéj spocząć po palącym skwarze i huraganach.

Do tych utworów poświęconych literaturze i sztuce, zaliczamy książkę pani Audley p. t. *Franciszek Schubert jego życie i dzieła.* Nie pierwsze to wystąpienie autorki. Parę lat temu już pani A. zamiłowana w muzyce niemieckiéj, dała poznać Francuzom życie Bethovena. Ostatnia praca o Schubercie jest po prostu streszczeniem obszernego dzieła Dra. Kreiszle von Hellborn, któremu Niemcy zawdzięczają znakomity życiorys wiedeńskiego artysty. Streszczenie to bardzo zręczne, wykonane z życiem i talentem.

Idąc za przewodnikiem swoim, autorka poprzedza życiorys ogólnem określeniem znaczenia pieśni, którą Schubert podniósł tak wysoko. „Pieśń — mówi — ten głos uczucia przepełniającego duszę, sięga pierwszych czasów społeczeństwa ludzkiego. Każdy naród miał pieśni własne, z tych jedne utonęły w odmęcie wieków, inne zrodzone później żyją życiem naszem i noszą piętno geniuszu narodów, które je utworzyły. Takiemi są: *Canzona* włoska, *Chançon* francuzka, *Song* angielska, nakoniec *Lied* niemieckie. Charakterem pieśni włoskiéj, cierpienie *morbidezza*, francuzkiéj dowcip, angielskiéj *humour*. Niemieckie *Lied* wyższe nad wszystkie inne, poważne i rozmarzone zarazem, jest prawdziwym wyrazem geniuszu niemieckiego."

Tak pani Audley jak i przewodnik jéj Dr. Kressle, w wyliczeniu różnych rodzajów, przepomnieli całkiem pieśni słowiańskiéj, któréj sama nazwa *Duma* najdoskonalszem jest określeniem. Ze strony autorki to poprostu niewiadomość, lecz i téj przebaczyć nam trudno; czyż bowiem Szopen nie dość rozsławił po świecie nasze nieporównane pieśni, językiem dla wszystkich zrozumiałym! Ze strony Dr. Kreissle w tem przepomnieniu, odgadujemy wyraźną intencję. Poszedł on tu śladem tylu ziomków swoich, u których zwyczajną rzeczą odbierać innym narodom zdobytą sławę i zasługę. Alboż nam nie odbierali Kopernika, Szwajcarom Holbeina, Belgom, von Eicka? Alboż uczony Menzel nie dopatrzył dziś płynącéj w Dantem krwi niemieckiéj?

Pamiętajmy że Szubert był synem i uczniem Szlązaka. Samo to świadczy o silnych wpływach żywiołu słowiańsko-polskiego na rozwój geniuszu.

Autorka zostawiając na boku pieśni ludu wieśniaczego, te śliczne kwiaty polne, rozkwitłe pod Bożem słonkiem i Bożą rosą, przechodzi do kategorji tych mniéj więcéj uczonych pieśni niemieckich, w których wypiętnował się duch jednostek lub zbiorowy duch korporacji. Dzieli je na trzy gałęzie na pieśni kościelne *Kirchenlied* poświęcone chwale Bożéj; na pieśni rycerskie *Ritterlied*, zrodzone w czasach Krucjat, opiewające wojenną sławę i cześć niewiasty, wreszcie na pieśni ludowe *Volkslied*, tworzone i śpiewane po warsztatach.

Pieśni rycerskie stały się wyłącznym przywilejem Minnesingerów, Minstrelów, którzy roznosili je po świecie, od r. 1100 do 1500. Pieśni ludowe *Volkslieder* podjęte przez Meistersingerów, kwitły po miastach od r. 1300 do 1600. Najsławniejszy ze śpiewaków warsztatowych Hanz Sachs, szewc z Norymbergi umarł w r. 1576. Rzecz godna uwagi, że ta średniowieczna instytucja przetrwała do czasów naszych. Czterech ostatnich członków szkoły Ulmskiéj, złożyli godła cechu swego w r. 1839.

Korporacja ta lubo do dni naszych zachowała słaby pozór życia, upadła przecież z początkiem wieku XVII, znać przeżyła już swój czas. Główną przeszkodą w jéj rozwoju był język chropawy i nieokrzesany, niezdolny do wyrażenia wzniosłych uczuć. W takim stanie rzeczy, ludzie wyżsi, ożywieni miłością kraju zawiązali się w towarzystwo. Celem ich było oczyścić język i podnieść poezję. Towarzystwo ustanowione w Kötten w r. 1617, pod nazwą *Palmen orden Geselschaft*, znalazło wkrótce naśladowców we wszystkich stronach Niemiec, w Hamburgu, Norenbergji i t. p.

Dany popęd nie miał się już zatrzymać. Towarzystwa poetyczne, poczęły wydawać poetów; poeci ze swéj strony zawiązywali coraz nowe towarzystwa i szkoły. W XVI wieku powstała szkoła poetyczna obchodząca nas bliżéj niż inne. Mówimy tu o szkole Szlązkiéj, zawiązanéj przez Towarzystwo *Palmowe* w Kötten. Cesarz Ferdynand I, nadał mu szlachectwo i nazwę von Roberfeld.

W XVII wieku zakwitła na Szlązku nowa szkoła. Głównem jéj zadaniem było oczyścić język z *obcych żywiołów*.

Obce żywioły!a jakież to żywioły na Szlązku obcemi? Nie potrzeba tu być wielkim etnografem, i historykiem, ażeby na to odpowiedzieć. Każde dziecko u nas wie, a i uczeni niemiecy nie mogą przeczyć temu, iż naleciałemi żywiołami na Szlązku, są żywioły obce geniuszowi Słowiańsko-Polskiemu, który tam kwitł na własnym gruncie.

Te czasy walk żywiołu niemieckiego z narodowym na Szlązku, są bardzo wielkiéj wagi w dziejach ludowéj naszéj literatury i naszego słownikarstwa. Na granicy to bowiem dwóch plemion, najdobitniéj wyrabiają się żywioły rodowe, tak w wydziale mythologji jak i pieśni. Rzecz widoczna, że w wiekach, poprzedzających wiek XVI, po zupełnem zniemczeniu Piastów, geniusz ludowy nie przestawał rozwijać się żywotnie na Szlązku. Utworzenie się szkoły Szlązko-Niemieckiéj, która wzięła sobie za zadanie *oczyścić* jak mówią język, najlepiéj to udowadnia. Nie wiemy o ile nasz znakomity etnograf Oskar Kolberg uważa ten ważny przedmiot badań za wyczerpany.

To samo cośmy powiedzieli o szkole Szlązkiéj, da się zastosować i do szkoły Pomorskiéj, założonéj w Grefenbergu w r. 1613, o któréj autorka mówi między innemi.

Pani Audley wymienia po kolei wszystkie szkoły i akademje poświęcone muzyce i poezji, jakie w ciągu XVIII wieku, zawiązywały się na całéj przestrzeni Niemiec. Nie pomija też niezliczonych stowarzyszeń ludowych.

„Grunt przygotowany zwolna przez muzyków i poetów—mówi autorka w konkluzji, uprawiany przez towarzystwa tak artystyczne jak ludowe, musiał wydać najpiękniejsze plony. Tak się też stało, z téj pracy wieków przyszłość miała zebrać bogate żniwo.

„Wielcy muzycy i wielcy poeci, zrodzili się równocześnie w Niemczech. Obok sławnych mistrzów melodji jak Haendel, Haydn, Gluck, Mozart, Bethoven, występują sławni mistrze słowa, Klopstock Schiller, Goethe. Owi to geniusze spopularyzowali pieśń niemiecką, oni wykształcili lud w muzyce i poezji, oni przygotowali drogę Schubertowi.

„Haendel wielki uczuciem, pełne żywotnéj siły, w oddaniu biblijnych dramatów, wprowadza do szkół ludowych sławny chór Machabeuszów i Josuego. Józef Haydn porywa serce ludu, tworząc dlań pieśń narodową, tak popularną w Austrji: *Gott erhalte Franz den Keiser*. Mozart oddany muzyce dramatycznéj, za pośrednictwem sceny, bardziéj jeszcze podnosi i uszlachetnia smak muzykalny w ludzie: Bethoven ożywia pieśń, całą potęgą geniuszu swego."

Tacy to poprzednicy utorowali drogę Schubertowi, który aczkolwiek Szlązak, miał doprowadzić pieśń niemiecką do najwyższéj doskonałości w formie.

Nie po to przypominamy narodowość Szlązką Schuberta, abyśmy go chcieli odbierać Niemcom, poprzestajemy na Szopenie, którego Francuzi nie myślą nam także odbierać pomimo narodowości ojca.

Franciszek Schubert urodził się w Wiedniu 31 Stycznia 1797 r. Ojciec jego przełożony szkółki elementarnéj, całe życie zajmował się wychowaniem dzieci: starsi synowie poszli też śladem ojca. Matka, wiejska dziewczyna Szlązaczka jak i mąż, była wprzód kucharką niż została żoną nauczyciela.

Ojciec znał muzykę, i chętnie jéj poświęcał chwile wolne od obowiązkowéj pracy. Miał on w domu stary zużyty klawikord, na którym pięcioletni Franciszek wygrywał wszystkie zasłyszane melodje. Kiedy miał lat ośm, ojciec kazał go uczyć na skrzypcach i sam wykonywał z nim dueta: późniéj posyłał go na kurs śpiewu do Michla Holzer, dyrektora chórów przy kościele parafialnym. Holzer spostrzegłszy w chłopcu na dzwyczajną zdolność, zajął się nim pilnie, uczył go grać na klawikordzie i organach, wskazał mu też pierwsze zasady generał — basu.

W jedenastym roku Franciszek występował już jako solista w chórach kościelnych. Wkrótce potem ojciec przedsięwziął staranie aby go pomieścić w kapeli cesarskiéj, co samo przez się dawało prawo do stypendjum w konwikcie miejskim.

Każdy kandydat zmuszony był zdawać egzamin w obec dyrektorów kapeli Salierego i Ejblera. Franciszek z kilkunastu młodymi towarzyszami powołany do egzaminu, wystąpił w siwéj spłowiałéj kurtce, czem wywołał śmiech swawolnych chłopców. Przezwali go młynarczykiem. Jakież było ich zdziwienie, kiedy młynarczyk wywiązał się najświetniéj ze wszystkich i otrzymał pierwsze stypendium.

W trzynastym roku począł tworzyć rozmaite melodje. Jedna z tych *Skarga Agary* napisana na dwudziestu stronnicach, zwróciła szczególną uwagę Salierego. Mistrz widząc nadzwyczajną zdolność ucznia sam wykładał mu prawa harmonji.

Uczniowie konwiktu co niedziela wyprawiał i koncerta, nauka bowiem muzyki gorliwie była uprawianą w wiejskiéj szkole. Zakład ten naukowy, pod dyrekcją Pijarów, nie był przecież wyłącznie poświęcony muzyce. Wykładano w nim literaturę, historję, jeografię, matematykę, rysunki, język francuzki i niemiecki. Mały Schubert zajęty głównie swym przedmiotem, zaniedbywał inne nauki. Nieraz podczas lekcji, zamiast słuchać profesora, gryzmolił nuty pod stołem. Ztąd i nauczyciele i koledzy mieli go za nieuka. Sami tylko profesorowie muzyki stawiali go za przykład innym uczniom.

W latach szkolnéj nauki, chłopiec odwiedzał niekiedy dom rodzicielski. Ojciec na jego przybycie urządzał familijny kwartet, w którym występował sam z trzema synami. Stary Schubert grał na wiolonczeli, trzéj synowie na skrzypcach a Franciszek lubo najmłodszy, prawdziwym był dyrektorem tych koncertów. Żadna omyłka nie uszła przed jego uchem. Jeśli popełnił ją ojciec, udawał zrazu że jéj nie spostrzega, drugim jednak razem odzywał się nieśmiało:

— Panie ojcze, mnie się zdaje, że tam brakuje czegoś.

Ojciec przyjmował uwagę, i poprawiał się natychmiast.

Podczas wakacji, teatr najmilszą był zabawą dla Franciszka. Zachwycony Mędeą Cherubiniégo i Ifigenią w Taurydzie Glucka, siedemnastoletni młodzian postanowił ułożyć operę z dramatu Kotzebuego *Pałac Lucypera*. Utwór ten lubo niedokładny wprawił w najwyższe zdumienie Saljerego.

Młody Schubert opuścił w r. 1813 kollegium, po pięcioletnim w nim pobycie. W domu czekały go ciężkie próby; zmuszony był spełniać obowiązki podnauczyciela w szkółce elementarnéj. Te obowiązki ze wstrętem spełniał w przeciągu lat trzech, wolne chwile poświęcał muzyce. Ułożył wtedy Mszę którą pod jego dyrekcją orkiestra wykonała w kościele podczas jubileuszowego obchodu. Uszczęśliwiony ojciec kupił mu za to fortepian o pięciu oktawach.

Odtąd zaczyna się nowa doba w zawodzie młodego artysty. Zaczyna tworzyć owe cudne pieśni, które miały unieśmiertelnić jego imię. Przyjaźń z poetą Janem Marghofer dała mu do tego silny popęd.

Dnia jednego w końcu 1814 roku, przyniesiono mu wierszyki: *am See* nad jeziorem. Słowa przypadły mu do smaku, zapragnął poznać się z autorem. Wspólny przyjaciel zaprowadził go na poddasze starego domu, gdzie słońce wciskało się zaledwie przez maleńkie okienko. Tam mieszkał Marghofer. Mimo różnicy wieku ścisła przyjaźń połączyła odrazu ich serca; poeta miał wtedy lat dwadzieścia pięć, muzyk zaledwie siedemnaście.

Od początku r. 1815, zaczęli razem pracować dopełniając się wzajem. W ciągu lat dwóch Schubert utworzył czterdzieści cztery melodje do słów Marghofera. Skomponował niemniéj operę: *Dwaj przyjaciele i Salamanki*.

Dwa lata przeżył muzyk z poetą w najściślejszych związkach.

Obaj zarówno ekscentryczni, różnili się jednak w charakterach i usposobieniu. Schubert dziecinny wesoły — nie tą wprawdzie swobodną wesołością właściwą młodemu wiekowi, lecz jakimś chorobliwym szałem, raził zbytecznie poetę hipokondryka, skłóconego ze światem i ludźmi. Rozłączyli się po dwóch latach, zerwali całkiem z sobą, na nieszczęście dla Magrhofera, który upadając coraz bardziéj na duchu, miał kiedyś zakończyć samobójstwem.

W ośmnastu leciech życia, talent Schuberta przyszedł do zupełnego rozkwitu. Twórczość jego prawdziwie była zdumiewająca. W ciągu roku 1815, utworzył przeszło sto melodji, do słów Schillera, Goethego, Körnera i innych ówczesnych poetów. Niektóre z tych kompozycji bardzo obszerne: *Emma i Adelwold*, ze słowami Bertranda zajmuje pięćdzie-

siąt stronnic w rękopiśmie. W pośród tych utworów błyszczy prawdziwy klejnot sławny *król Olch* (*Erlkönig*) godzien ballady Goethego. Schubert stworzył to arcydzieło w przeciągu kilku godzin.

Geniusz Goethego silnie oddziaływał na Schuberta. Nieporównana piękność formy połączona z bogactwem myśli porywała artystę, rozbudzając twórcze natchnienia w jego duchu. Król Olch rozpoczął długi szereg pieśni ułożonych do słów Wejmarskiego poety. Liczą ich do pięćdziesięciu. W roku 1819 idąc za radą przyjaciela, Schubert ofiarował Goethemu najudatniejsze z tych utworów. Rzecz dziwna! Jowisz wejmarski przyjął je obojętnie i nie raczył odpowiedzieć. W żadnym nawet z pozostałych listów Goethego do muzyka Zettnera, nie ma najmniejszéj wzmianki o Szubercie. Równą obojętność okazywał wreszcie dla Bethowena i Webera.

Późniéj dopiero kiedy Schubert już nie żył, Goethe poznał i ocenił jego geniusz. Było to w roku 1830. Sławna śpiewaczka niemiecka pani Schröder Devrient, w przejeździe do Paryża zatrzymała się w Wejmarze. Przedstawiona ośmdziesięcioletniemu poecie, odśpiewała przed nim króla Olch, w właściwy sobie sposób. Starzec głęboko był poruszony. Gdy skończyła, objął głowę artystki, pocałował ją w czoło.

— Dzięki! zawołał z uniesieniem, słyszałem już tę balladę, lecz nie przemówiła mi do duszy. Wyśpiewana przez ciebie nabiera życia i uroku.

Wcześniéj niż w pani Schröder Devrient, znalazł Schubert znakomitego wykonawcę utworów swoich, w śpiewaku Wiedeńskim Voglu. On pierwszy zrozumiał i ocenił geniusz młodego mistrza. Sąd Vogla o Schubercie zasługuje na uwagę. Według niego Schubert tworzył w chwilach hallucynacji, jakby jasnowidzenia, porwany wyższą myślą niezależną od jego woli. „Takie utwory mawiał Vogl — budzą podziw i uwielbienie, lecz nie wolno ich sądzić."

Na dowód tego jasnowidzenia, Vogl przytacza szczególny wypadek. Jednego poranku Schubert przyniósł mu kilka pieśni tylko co utworzonych, które Vogl odłożył na bok zajęty inną pracą. Przeglądając je późniéj postrzegł, że najpiękniejsza pieśń w zbiorze jest zawysoką na jego baryton. Zniżył ją o kilka tonów i dał do przepisania. W parę tygodni potem zaśpiewał tę pieśń Schubertowi.

— Czyja to pieśń? wcale nie zła melodja! zawołał muzyk nie poznając własnego utworu.

Nie sam tylko Vogl dopatrywał tę hallucynacją. Baron Schoenstein oceniając muzykę Schuberta, zowie go *Musickalischer Hellseher*.

Wpływ Vogla korzystnym był dla młodzieńca. Słynny śpiewak wprowadził go w muzyczny świat wiedeński, otworzył mu progi artystycznych salonów, wspierał go doświadczoną radą, był mu opiekunem, jakby ojcem.

Dzięki nowym stosunkom młody muzyk dostał się do domu magnata Węgierskiego, księcia Leona Esterhazy. Równie jak Mozart, Bethoven i inni wielcy mistrze, Schubert miał wstręt do dawania lekcji. Walcząc z ubóstwem, zmuszony był jednak chwycić się tego środka. Zimą uczył w Wiedniu dwie księżniczki, lato spędzał z rodziną Esterhazych nad rzeką Wagiem w Zeleszu. Było to w r. 1818 młody miał wtedy lat dwadzieścia i jeden. Pobyt ten w domu magnata Węgierskiego, wywarł silny wpływ na dalsze życie artysty, młodsza z księżniczek obudziła w sercu jego uczucie żywe, któremu został wiernym do ostatnich dni swoich. Uczucie to prawdziwie idealne ożywiało go i dawało mu twórcze natchnienie. W Zeleszu ułożył niezliczoną moc sonat, symfonji i wyśpiewał mnóstwo pieśni. Tam zebrał wielką liczbę melodji Węgierskich i Słowackich, z ust wędrownych Cyganów i wiejskich dziewcząt. Taki początek mają sławne jego *Divertissements à la Hongroise*.

(d n.)

ZMIANY

I ODKRYCIA NAJŚWIEŻSZE

w Afryce.

Pomiędzy posiadłościami angielskiemi w Afryce południowéj a rzecząpospolitą kolonistów holenderskich Oranje, umieszczano dotychczas na mapach kraj *Bassuto*. Kraj ten przestał być niezawisłym, powinien więc zniknąć na mapach Afryki. Jest to kawał ziemi, mający 360 mil kwadratowych a 60,000 do 100,000, mieszkańców. Od lat przeszło czterdziestu krajem tym rządził kisążę *Moszesz*, który umarł d. 11 marca 1870. Moszesz odgrywał w Afryce niepoślednią rolę. Był to barbarzyniec w pół ucywilizowany i niby przychylny cywilizacji europejskiéj, któréj przewagę uznawał. Poddanych swoich którzy dawniéj trudnili się głównie hodowlą bydła, usiłował zamienić w rolnikéw i przymuszał ich do uprawy ziemi. Zresztą chciwy walk i łupów, prowadził wojny z kolonistami holenderskimi, z Anglikami, z plemionami Kafrów i Bedżuanów. Niestety, wojny te żadnych nie przyniosły mu korzyści. Rezydencja jego *Thaba Bosiu* leżała na wysokiéj, pięciobocznéj górze skalistéj, którą sama przyroda uczyniła twierdzą niezdobytą, tak że koloniści holenderscy omijali ją, samym widokiem warowni odstraszani. Z tego to powodu księcia Moszesz nazywano „panem góry". Nigdy nie mógł on mieszkać długo gdzieindziéj i nazywał górę swoją matką. Prawie cały kraj Bassuto podobny jest do téj Thaba-Bosiu i dla tego to jego mieszkańczy zdołali tak długo zachować swoją niepodległość, podczas gdy naokoło wszystko już dawno odmienioną przybrało postać. Oczywiście nie mało przyczynił się także do tego przedsiębiorczy i przebiegły naczelnik, jakim był Moszesz, którego słusznie nazwać można założycielem téj monarchji afrykańskiéj. Pierwotnie mało znaczący naczelnik plemienia, zgromadził z czasem w około siebie słaby swój naród, utworzył, dla niego nową ojczyznę, a siebie uczynił nieograniczonym władzcą, i jeszcze w dodatku zyskał sławę wojenną.

Koniec Moszesza i jego państwa był taki sam. jak wielu innych potężnych władzców afrykanskich i ich „panstwa". Powstawały jak meteory, błyszczały pewien czas, poczem znikały wraz ze swoimi założycielami, dostawszy się pod panowanie sąsiednich kolonji europejskich. Już w roku 1866 rzeczpospolita Oranje kusiła się o zdobycie kraju Bassuto. Wojna była zacięta. Moszesz miał armaty i bronił się dzielnie. Oblężenia Thaba Bosiu było bezskutecznem. Niepodległość ocalała, ale przecież nie całkiem, bo część kraju dostała się holendrom. Moszesz zestarzał się, i poznał zapewne że wytrwałe opieranie się Europejczykom, chwilowo tylko ubezpiecza jego swobodę, a z czasem stanie się niepodobnem. W bogatym jego kraju panowała największa nędza, a wkrótce przyłączył się do niéj głód i mór. Zaledwie dziesiąta część trzód pozostała po wojnie. Anglicy umieli korzystać z chwili, i namówili Moszesza, aby się udał pod ich opiekę, czyli, mówiąc wyraźniéj, przyłączyli jego kraj do swoich posiadłości. Proklamacja gubernatora kolonji na przylądku, datowanéj z Wodehouse d. 12 marca 1868 zawiera ustęp następujący. Dla przywrócenia pokoju, jakoteż dla ustalenia bezpieczeństwa i dobrego rządu na północno wschodniéj granicy przylądka, Jéj królewska Mość raczyła łaskawie wysłuchać prośbę najwyższego naczelnika Moszesza i innych naczelników plemienia Bassuto, aby kraj ich wszedł w stosunek poddańczy, do jéj królewskiéj Mości, przeto ogłaszam niniejszem, że Bassutowie są poddanymi angielskimi i pod każdym względem jako tacy uważani być mają, tudzież że kraj wspomnionego plemienia staje się własnością angielską itd. Tymsposobem zniknęło sławne dotychczas i samodzielne państwo Bassuto, podzielone między Anglików i rzeczpospolitę Oranje.

W sprawie téj jakoś nie trudno było pogodzić się dwóm sąsiadom, zawistnem okiem na siebie patrzącym, Anglji i rzeczypospolitéj Oranje. Inaczéj jednak rzecz się ma z *kopalnią diamentów*. Jak wiadomo, diamenty znajdywane są ciągle w Afryce południowéj. Rozległe pola diamentowe leżą nad rzekami Oranje i Vaal, na północo-wschód kolonii przylądka, w kraju Griqua, w rzeczypospolitéj Oranje i w rzeczypospolitéj Transvaal. Główna kopalnia diamentów znajduje się w berlińskiéj stacji misyjnéj Pniel nad rzeką Vaal, gdzie w roku 1870 było zatrudnionych przeszło 500 robotników. W ogóle poszukiwaniem diamentów zajmuje się podobno około 6,000 ludzi. Terytorium to jeszcze w roku 1861 stało się własnością rzeczypospolitéj Oranje, odstąpione téjże przez głośnego w swoim czasie naczelnika kraju Griqua, „kapitana" Adama Kocka. Ale gdy odkryto, że tam znajdują się diamenty, inny naczelnik kraju Griqna, nazwiskiem Waterboer, wystąpił ze swemi pretensyami do wspomnionego terytorium i wszedł z rzecząpospolitą Oranje w układy, które jednak wkrótce rozeszły się. Dnia 29 sierpnia 1870, Brand, prezydent rzeczypospolitéj Oranje, wydał proklamacją w któréj oswiadcza, że wszelkie pretensje Waterboera są bezzasadne; rząd angielski jednak stanął po stronie Waterboera, ten bowiem chce odstąpić Anglikom swoje terytorium.

Wiadomości nasze o Afryce południowéj rozszerzają się i wyjaśniają coraz bardziéj, w skutek czego nawet najświeższe publikacje geograficzne wkrótce będą wymagały licznych sprostowań. I tak np. pokazuje się, że rzeczpospolita Transvaalska ma prawie dwa razy większą rozległość niż dotychczas mniemano. Wydłuża się ona głównie ku północy i północo-zachodowi (aż do jeziora Ngami), nic jednak pewnego nie można jeszcze o niéj powiedzieć. Co się tyczy pól złotych w kraju Maszona, pomiędzy 17 a 19 stopniem szerokości południowéj, odkrytych przez Karola *Maucha*, wiadomości w tym względzie nie są wcale najpomyślniejsze. Już dawniéj udowodnił Adolf Hübner, geognosta towarzysz C. Mohra, że kwarce znalezione nad rzeką Tatinem zanadto mało zawierają złota, aby eksploatacja tego szlachetnego metalu się opłaciła. Obecnie w jednem z pism berlińskich Hübner wraca do tego samego przedmiotu, i broni zdania swego dawniéj wypowiedzianego, przyczem opiera się na własnych badaniach, znalazł bowiem w téj okolicy stare kopalnie na 30 stóp głębokie, założone przez Maszonów których późniéj wygnali ztąd Matabelowie.

O Livingstonie dotąd nie ma pewnych wiadomości znowu gdzieś zaginął. Natomiast nadeszły listy od Dra. Jerzego *Schweinfurtha*, śmiałego badacza krajów Niam- Niam. Listy te zawierają bardzo ważne doniesienia i rozszerzają znacznie wiadomości nasze o Afryce. Schweinfurth należy teraz do najzdolniejszych badaczów téj części świała. Punktem wyjścia jego poszukiwań była Seriba Kopta Ghattas na granicy krajów Dinka, Dżur i Dor. Ztamtąd na początku tego roku udał się z karawaną handlową na południe, do krajów, które przed nim zwiedzał niedostatecznie jeden tylko Carlo Piaggia, rzemieślnik włoski. Przeszedł on całą, wschodnią część kraju Niam- Niam gdzie znajduje się osada Munsa, w któréj rezyduje władca krainy Monbutta. Miejsce to wzniesione jest nad poziom morza 2,500 do 2,600 stóp. Kraj Monbutto jest częścią niezmiernéj płaszczyzny, która od rzeki Gazelli ciągnie się aż do dolnego Nigru. Gdzieniegdzie tylko wznoszą się jak wyspy pagórki granitowe, mające w przecięciu po 1000 stop wysokości bezwzględnéj. Płaszczyzna ta pochyla się ku północo-zachodowi, w tym też kierunku płyną wszystkie rzeki. Pod względem wegetacji kraj dzieli się prawie w każdem miejscu na dwie odrębne połowy, mianowicie widzimy tutaj albo strumienie i rzeki uwieńczone gęstemi lasami, pełnemi drzew olbrzymich, albo step, poprzecinany rzekami na mnóstwo drobnych części, nie szerszych nad półgodziny drogi. Bardzo ważnemi są wyjaśnienia Schweinfurtha co do hydrografii kraju Niam-Niam. Rzeki Jei, Rool, Tondj i Dżur wpadają do Gazelli. Powstają one z mnóstwa małych strumieni, płynących przez cały rok i zagłębionych nisko w pokładzie piaskowca, stanowiącym powierzchnię kraju Schweinfurth powiada, że strumienie te wyglądają całkiem tak, jak rury do drenowania. Stanowią one jakoby gęstą sieć kraj pokrywającą, nie dziw więc że z nich powstają wielkie rzeki bez pomocy tak zwanych gór źródłowych, i że w porze dżdżystéj rzeki te tak bardzo wzbierają. Podróżnik nasz zwiedzał dział wód pomiędzy doliną Nilu a doliną rzeki Tsad, leżący na północ 3-go stopnia szerokości i twierdzi, że ten nie przerywa jednostajności charakteru okolicy. Widział wielką rzekę Kelle, płynącą ku zachodowi, o któréj wspominał także jego poprzednik Heuglin; sądzi jednak, że jest to tylko górna część rzeki Szari. Wygląda ona jak Nil błękitny

w lecie pod Chartumem i powstaje pod 28 s dł. wsch. z połączenia dwóch wielkich rzek Kipali i Gadda. Po rzecze Kelle krajowcy pływają na czółnach, mających 30 stóp długości a 6 stóp szerokości. Płynie ona ku północo zachodowi i jak twierdzą krajowcy, zatrzymuje bardzo długo ten kierunek. Mówili, że aby się dostać do ludzi „noszących odzienie i modlących się na ziemi" potrzeba czasu pół miesiąca. Rzeka Szari, znana nam bliżéj z relacji Henryka Bartha, wpada do jeziora *Tsad*. Jeżeli się potwierdzi domysł Schweinfurtha, tedy rzeka Kelle — miałaby około 250 mil długości, to jest prawie tyle co Niger, byłaby więc jedną z największych rzek w Afryce. Piaggia wspominał o wielkiem jeziorze na południu, Henglin także o niem słyszał i nawet naznaczył je na swojéj mapie. Jezioro to miało się znajdować na zachód od jeziora Albert — Nyanza, odkrytem przez Ballera i być nawet większem od niego. Schweinfurth od początku swojéj podróży wątpił o istnieniu tego jeziora, owszem mniemał, że obadwa te jeziora są jednem i tem samem. Domysł ten potwierdził się teraz, ponieważ jeziora, najprzód przez Piaggię wspomnianego nie znaleziono nigdzie. Postrzeżenia Schweinfurtha pod względem etnograficznym, są także bardzo cenne. Mieszkańcy krainy Niam-Niam są bez wyjątku ludożercami; Henglin powątpiewał o tem, Piaggia zaś był świadkiem naocznym, a Schweinfurth znalazł pozostałości wielkiéj uczty kannibalskiéj, któremi znakomicie pomnożył swój zbiór kraniologiczny. Odkryto świeżo w tych okolicach nową rasę ludzi, pigmejczyków, których istnienie liczono dotąd między bajki. Lud ten nazywa się Aka. Schweinfurth wracając do seryby Ghatty, przyprowadził z sobą człowieka téj rasy, który towarzyszył mu jako posługacz. Tym sposobem potwierdziły się relacje podróżnika Du Chaillu, który opowiadał o narodzie karłów, złożonym z ludzi 5 stóp wysokich, nazywających się Obongos, a którzy w krainie Ashango trudnią się rybołówstwem i myślistwem, prowadząc życie koczownicze. Niedowierzano tak temu, jak i wielu innym podaniom pana Du Chaillu; teraz w skutek odkryć Schweinfurtha, podania te zyskują na wiarogodności, chociaż z drugiéj strony zważać należy, że karły przez niego odkryte mieszkają daleko głębiéj na wschód. Akowie Schweinfurtha mają w przecięciu 1 i pół metra wysokości, ale jest wielu pomiędzy nimi, którzy nie dochodzą téj miary. Ludy sąsiednie nazywają ich Tiki-Tiki. Na południe krainy Niam-Niam mieszkają dwa ludy *Monbuttu* i *Abauga*, stojące pod względem cywilizacji wyżéj niż Niam-Niam, ale oddające się także ludożerstwu.

Barwa ich skóry jest nieco jaśniejsza niż mieszkańców Niam-Niam, i często zdarzają się pomiędzy niemi Albinosy. Ludy te budują sobie bardzo dobre pomieszkania. Pałace władcy kraju Monbuttu zbudowane są z drzewa palmowego, z kształtu i sposobu budowy podobne do pomniejszych dworców kolei żelaznych. W obrabianiu żelaza okazują niepospolitą zręczność. Zamiast pieniędzy używają w handlu kawałków miedzi. W języku swoim mają wyraz jedynie na oznaczenie bóstwa (Noro), właściwéj jednak religji nie mają i nie znają bojaźni religijnéj lub zabobonnéj. Ludy te, podobnie jak mieszkańcy Niam-Niam, nie są właściwymi Negrami, ale na zachód tych ostatnich mieszkają *Babultrowie*, trudniący się rolnictwem i hodowlą bydła, przedstawiający najdoskonalszy typ murzyński, są oni ludożercami pierwszego rzędu. Zdają się być blisko spokrewnieni z prawdziwemi plemionami murzyńskiemi, mieszkającemi na zachód Monbuttu, które nazywają się *Monwu*, u nich to Monbuttowie zaopatrują się w ciała ludzkie do swoich uczt kannibalskich. Piaggia wspomina o małpie, nazywającéj się w języku krajowym *Ranja*. Antinori, wydawca relacji tego podróżnika, mniema, że był to Troglodytes calvus lub niger, a może Gorilla. Schweinfurth potwierdza wiadomość o istnieniu takich małp czwororęcznych i dodaje, że zebrał znaczną ilość ich czaszek. Z od kryć botanicznych zasługuje na wspomnienie olbrzymie drzewo z owocami wielkości dyni, należące do rodziny chlebowych. Podróż połączoną była z rozmaitemi niebezpieczeństwy, przecież z końcem lipca 1870 Schweinfurth powrócił w dobrem zdrowiu do swojéj głównéj stacji, to jest do seryby Ghatty, zkąd wkrótce miał wyruszyć w dalszą podróż dla zwiedzenia zachodniéj części krajów Niam-Niam. W przebieżonych przez Schweinfurtha krainach klimat był wszędzie zdrowy.

(d. c. n).

KORESPONDENCJA

TYGODNIKA MÓD.

ZE LWOWA

(Teatr i p. Miłaszewski — komisja znawców: jej sąd. Bale i koncerta — Nowe pisma — Nowe książki — Pamiątki po Adamie Mickiewiczu.)

— Znowu teatr i p. Miłaszewski! — zawoła niejedna Czytelniczka z niechęcią widząc w podanym u góry spisie rzeczy, oba te wyrazy na pierwszem miejscu.

Tak jest niestety! W trzeciéj z kolei korespondencji niepodobna pominąć teatru i p. Miłaszewskiego, chociaż sprawa ta zaczyna być dla Lwowa wielce wstrętną, a dla Warszawy może jeszcze nadto nudną.

Nie dla braku materjału lecz z istotnéj konieczności, poświęcić musimy znaczną część dzisiejszego sprawozdania sprawom lwowskiego teatru. Bez przeniewierzenia się bowiem swojemu obowiązkowi, korespondent nie może pomijać sprawy, którą w całym miesiącu dzienniki wysuwały na pierwszy plan dyskusji publicznéj, którą zajmowali się wszyscy korespondenci i fejletoniści, którą wreszcie zajęła się energicznie nasza najwyższa władza autonomiczna Wydział krajowy.

Jak wiadomo z poprzedniéj korespondencji, sejm galicyjski w osobnéj, jednogłośnie przyjętéj uchwale polecił Wydziałowi krajowemu, ażeby przy wypłacie subwencji czuwał pilniéj nad sceną lwowską. Wydział krajowy widząc, że uchwała taka otrzymawszy podwójną sankcję, bo od sejmu i opinji publicznéj, powinna być ściśle wykonaną, postanowił wstrzymać wypłatę subwencji i zwołać komisję znawców dla zbadania, czy dyrekcja obecna zasługuje na wsparcie z funduszów krajowych. Do komisji téj powołani zostali: prezes towarzystwa przyjaciół sceny dr. Sermak, znany artysta dramatyczny sędziwy poprzednik dzisiejszego dyrektora Witalis Smochowski a wreszcie literaci i pisarze dramatyczni: Juliusz Starkel, hr. Witold Borkowski, hr. Jan Aleksander Fredro, i Władysław Łoziński. Aż dotąd sprawa postępowała spokojnie, gdyż wszyscy byli zadowoleni z zarządzenia Wydziału krajowego i z otuchą czekali na wyrok téj komisji. Pan Miłaszewski jednakże przewidując, że zdanie ludzi inteligentnych i znających sztukę, nie może być pomyślnem dla jego sprawy, wywołał niesłychaną wrzawę skandaliczną najpierw na scenie, a potem w dziennikarstwie. Na scenie przy przedstawieniu nędznéj ramoty *Djabeł w zalotach*, pan Miłaszewski wystąpił w swojéj forsownéj roli i odśpiewał kilka kupletów, w których mieściło się tyle obelg na nieprzychylnych mu krytyków, a nawet Wydział krajowy, ile słów. Gdy zaraz potem tutejsze pisma skarciły ten wybryk dyrektor sceny lwowskiéj wystąpił w swoim organie z odpowiedzią, w któréj nagromadził prawdziwie niesłychany i niewidziany zapas epitetów wymierzony wprost na osobę redaktora dziennika lwowskiego, który wytyka dyrekcji wszystkie błędy popełnione od chwili objęcia sceny.

Na szczęście gospodarka dzisiejszéj dyrekcji zbliża się już ku końcowi. Komisja bowiem zwołana przez wydział krajowy orzekła jednogłośnie, że scena lwowska jest bezwzględnie złą i w takim stanie dłużéj cierpianą być nie może. Po takim wyroku Wydział krajowy zamknie oczywiście subwencję, a pana Miłaszewskiego jeżeli nie klęska moralna i doniosłość takiego potępienia, to przynajmniéj względy materjalne skłonią do złożenia dyrekcji. Nadto jeszcze zarząd fundacji Skarbkowskiéj będzie może miał sposobność wypowiedzenia kontraktu dzisiejszéj dyrekcji. Jak wiadomo bowiem od Wielkiéj nocy w skutek cesarskiego rozporządzenia, przestaje istnieć we Lwowie uprzywilejowany teatr niemiecki, a w skutek tego zarząd fundacji Skarbkowskiéj wydzierżawić musi dwieście kilkadziesiąt wieczorów, przeznaczonych dotyczas na przedstawienia niemieckie. W kontrakcie zawartym przed dwoma laty z p. Miłaszewskim, zarząd fundacji zastrzegał sobie, że gdyby nastąpiło równouprawnienie sceny polskiéj z niemiecką, dyrekcji podane zostaną warunki, pod jakiemi wydzierżawione zostaną wieczory przeznaczone dla przedstawień niemieckich. Gdyby w téj mierze zgoda nie dała się osiągnąć, zarząd zastrzegł sobie prawo wypowiedzenia kontraktu. Wypadek przewidziany w kontrakcie nastąpił istotnie, bo zniesienie przywileju jest właśnie takiem równouprawnieniem w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Tymczasem dyrektor sceny polskiéj wystąpił z sofizmatem, którego nie powstydziłby się niezawodnie i najodważniejszy rabulista. Oświadcza bowiem zarządowi, że zniesienie przywileju teatru niemieckiego nie jest równouprawnieniem przewidzianem w ostatnim artykule kontraktu. Zarząd fundacji wyświecił dyrektorowi, że takie tłomaczenie umowy niezgodne ani z jéj duchem ani celem jest niewłaściwem, a chcąc w miłéj zgodzie pozbyć się jego dyrektorstwa, przyrzekł mu pewną kwotę odstępnego, jeżeli zrzeknie się dyrekcji już od Wielkiéj nocy 1872. Pan Miłaszewski oświadczył, że przystaje na to jeżeli zwrócony mu zostanie spodziewany czysty dochód jednego roku. Dochód ten według obliczeń dyrektora wynosić ma aż 48,000 tysięcy guldenów. Zresztą kontrakt nakazuje p. Miłaszewskiemu utrzymać dobrą scenę, więc zarząd fundacji opierając się na zdaniu znawców zwołanych przez Wydział Krajowy, może zerwać kontrakt bez wszelkiéj trudności. W każdym razie jest nadzieja, że niezadługo zarząd fundacji Skarbkowskiéj pozbywszy się p. Miłaszewskiego, przy rozstrzygnięciu przyszłego konkursu powodować się będzie jedynie względami na sztukę i sprawiedliwość, a scena lwowska w obec nadzwyczaj korzystnych stosunków dzisiejszych, podniesie się może wkrótce do pierwszorzędnego stanowiska.

Ubiegły miesiąc zostawił po sobie niezawodnie miłe wspomnienie w lwowskim pięknym świecie. Odznaczył się bowiem werwą zapustną i szałem prawdziwie karnawałowym. Oprócz licznych zabaw prywatnych, które oczywiście świetnie wypadły, mieliśmy kilka publicznych balów urządzonych na rozmaite cele. Nadto jeszcze sezon koncertowy rozpoczął się z niezwykłą świetnością. Odwiedzili bowiem Lwów znakomici muzycy znani już zaszczytnie publiczności naszéj z lat poprzednich, a miłośnicy muzyki zachwycali się kolejno grą pp. Miski Hauser, Wieniawskiego i hr. Stanisława Tarnowskiego. Mianowicie ostatni artysta wielkie miał powodzenie we Lwowie, a koncert jego urządzony na cel dobroczynny zentuzjazmował prawdziwie publiczność. Pan Tarnowski jest jeszcze nadto znany z pięknych poezji, które ogłaszał pod różnemi pseudonimami (Studenta Ernesta Buławy).

(d. n.)

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Ciastka kruche.

Kwartę mąki zaparzyć pół filiżanką wody, rozmięszać, włożyć funt masła i funt miałkiego cukru zagnieść na stolnicy, rozłożyć na blachę wysmarowaną masłem, pokrająć, posmarować jajkiem i posypać migdałami siekanemi. Następnie w gorący piec na kwandrans wstawić.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami i **Kalendarz** Tygodnika Mód na r. **1872**.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*) • Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

W Jędrzejowéj około ubogiéj chaty wiejskiego artysty Chudzika — (predestynowane nazwisko!) stanęli wszyscy, kupić coś u niego. Chudzik wyrabia różne drobne sprzęciki z drzewa dosyć zręcznie, samouczek ma wiele smaku, a że w istocie nie chodzi tu o nabycie, więc kupno u Chudzika jest razem jałmużną. Około ubogiéj jego chaty, zatrzymały się wózki i wszyscy zaopatrzyli się w drewniane noże i inne drobnostki. Ztąd już kraj staje się coraz bardziéj malowniczym około Muszyny, w któréj sterczą resztki obalonego zameczyska. Za nią zjawiają się piękne drzewa i piękne wzgórza, a bliżéj Żegestowa, gdy droga wpada w zarośla zielone i lasy, wzrok gdzieniegdzie z wyżyny spostrzega jakby kaskady drzew spadających w głębiny, piętrzących się ku górze, poprzecinanych parowami, pozwieszanych nad srebrną wstęgą Popradu i mimowolny okrzyk uciechy z ust się wyrywa.. W téj cieszy lasów i gąszczy jakże uśmięchnięto, wesoło, jak ślicznie! Nieuważano nawet wśród rozmów i okrzyków towarzyszących przejażdżce, że czasem koła wozów ślizgały się prawie nad krajem urwisk, ciasną przesuwając drożyną. Nabstatek pokazał się schowany w parowie Żegestów ze swemi skromnemi domkami, kapliczką, bokami poobrywanemi gór i gąszczami drzew otaczających. Hrabina wysiadła, by przejść pieszo, a całe towarzystwo za jéj przykładem rzuciło wózki. Oczy jéj szukały już Pilawskiego, do którego miała żal, że nie dosyć pilno spełniał obowiązki cicerona.. Pilawski stawił się, by odebrać burę i przyrzec poprawę. U źródła pili wszyscy, potem, staraniem Greifera urządzone, wystąpiło skromne śniadanie z kurcząt złożone, potem spinano się po wzgórzach, poglądając ku Węgrom i ciesząc pięknemi widoki, a że tego dnia nocleg wypadł w Lubowli, musiano pospieszać. Całe towarzystwo krynickie przeprowadziło jeszcze za Żegestowski parów panią Palczewską, która przyrzekła powrócić jak najprędzéj. Zdrowie jéj wypito jeszcze u wózków, i konie wśród głośnego wiwatu, ruszyły daléj.

Dwór hrabinéj uszczuplony składał się z jéj towarzyszki, starego kamerdynera, kuzynka Alberta i pana Gabriela, mieszczących się na trzech wózkach. Dwaj panowie, ażeby się nie dać znudzić podróżnéj, z kolei przesiadali się do wózka. W Lipnikach czekał powóz, do którego też jeden z panów był przypuszczony, drugi pospieszał wózkiem góralskim. Pomimo piękności drogi, widoków na odległe Tatry i poetycznego lecz coraz majestatyczniejszego krajobrazu, hrabina była zmęczona i kwaśna, Albert milczący i ponury, Pilawski przybity i smutny. W Lubowli nocleg się okazał niewygodnym niestety, a przy improwizowanéj herbacie, pani i panowie poziewali. Podróż się zwiastowała daleko mniéj zabawną, niżeli sobie obiecywano.

Ale nazajutrz wszyscy wstali orzeźwieni, a dalsza podróż do Czerwonego Klasztoru, widok Pienin, wzgórzów, wiosek, rozległych obrazów oświetlonych słońcem poranku, owianych mgłą muślinową, szczęśliwie podziałał na umysły. Hrabina dowcipkowała, pytała, bawiła się i roztrzepała trochę. W Czerwonym Klasztorze, zkąd po Dunajcu dostać się miano do Szczawnicy, aby nacieszyć się Pienin widokiem, konie pozostawały, Albert i Gabriel kazali przygotować łódki. W karczmie znalazła się kupka cyganów, których tu po nad granicą węgierską pełno. Pilawski dobył albumu, aby pochwycić te typy, hrabina dowiedziawszy się tu dopiero, że był po trosze artystą, zajęła się cała ustawianiem mu wzorów. Tak upłynęła godzina popasu, nim czółna pozbijano i Josek oznajmił, że wszystko do żeglugi było gotowem, i że ma nadzieję szczęśliwego poprowadzenia gości aż do Szczawnicy. Od Czerwonego Klasztoru, rzeka wsuwa się między Pieniny, zakręca wśród nich, płynie pod skały i górami okrytemi lasy, tworząc najpiękniejsze obrazy, którym oświetlenie nadaje czarujące wdzięki. Dunajec rwie spieniony, gniewny, niespokojny pomiędzy rafami i skały, łódki posuwają się żywo, przewoźnicy po imionach wskazują ostre szczyty. Hrabina, która po raz pierwszy w życiu odbywała na czółnie taką żeglugę, bawiła się nią jak dziecko, klaskała w dłonie i zaręczała, że nie żałuje wcale podjętego trudu. Już zmierzchało, gdy przebywszy piękne gór pasmo, ujrzeli wędrowcy Szczawnicę, oznajmującą się gośćmi od wód przechadzającemi się po brzegach. Albert wyprawiony przodem miał polecenie zamówienia noclegu, mieszkania i wieczerzy..

Pełno wszędzie znajdując znajomych, nie wytrzymał, żeby nie oznajmić o hrabinie, a Szczawniccy goście dowiedziawszy się o pani Emilji, wybiegli na jéj spotkanie, z czego, niemożna powiedzieć, żeby radą nie była. Nie tyle hołdy może, co wrzawa i tłum ludzi jéj smakował, nudziła się tak łatwo! Teraz zaś tem więcéj potrzebowała rozrywki, iż czuła ból w sercu, Gabriel, którego wyciągnęła w tę podróż, aby się zbliżyć do niego bez przeszkody, widocznie roztargniony, inną jakąś myślą zaprzątnięty, jéj unikał. Szczęściem Szczawnica była pełna dawnych dobrych znajomych, którzy w tym roku tak tu niespodzianie przybyli, jak pani Palczewska do Krynicy, nawykli będąc jeździć gdzieś do wód, a nie mając dokąd pojechać. Albert prowadził już z sobą cały tłum na brzeg ku spotkaniu pani Emilji, a między innemi i jedną figurę szczególną, osobliwą wyjątkową, którą tu świeżo poznał. Był to Anglik turysta, zbłąkany dla oryginalności w ten kąt dziki i zabierający się zwiedzić Tatry z pomocą sakiewki, języka angielskiego i francuzczyzny. Nie wyglądał on, jak ci wszyscy pospolicie na karykaturach rysowani. John Bulle długiego wzrostu z ryżemi bokobrodami, których typ szczęśliwie pochwycony powtarza się od lat piędziesięciu, powierzchowność miał bardzo miłą, poważną, ale razem swobodną i nieulepioną na wzór tysiąca innych. Sir William Burney Ergu, jedyny syn bardzo znacznéj i majętnéj, jak mówiono, rodziny, kończył wychowanie, a raczéj lata młodości niezajęte, odbywając podróże po świecie. Członek Alpejskiego klubu, zwiedzał szczególnéj góry, Europejskie i amerykańskie były mu wszystkie znane, wschód i zachód słońca obserwował ze wszystkich szczytów dostępnych i mianych dotąd za nieprzebyte. Koléj przyszła w tym roku na Tatry, jechał więc do Zakopanego nieulękniony. Wprawiony do trudów i niewczasów, do przygód i niewygód, zdrów, silny, wytrwały, zręczny, Sir William był oprócz tego bardzo miłym w towarzystwie. A że powierzchowność miał sympatyczną, twarz piękną i arystokratycznych rysów, że pieniędzy nie żałował i żył bardzo po pańsku, wszędzie gdzie się kolwiek ukazał, przyjmowano go jak lwa i wyrywano sobie.

— Kuzynka, — rzekł po cichu Albert, wysadzając ją z czółna, — jesteś prawdziwie szczęśliwą. Proszę zwrócić uwagę na tego młodego człowieka na prawo, jest to Anglik, turysta, ekscentryczny i bardzo zajmujący. Jedzie do Tatrów, jak my. Dla hrabiny jakby przez Opatrzność zesłana doskonała zabawka.

Palczewska pochwyciła te słowa, nie dając znaku, że jéj uszów doszły, rzuciła szybko okiem na Anglika i przywitawszy się ze znajomemi, otoczona orszakiem licznym, poszła zaraz na podwieczorek, który był na Miodziuszu przygotowany. Anglika jéj zaprezentowano, podobał się z powierzchowności. Albert, który chciał być wolnym sam, a Pilawskiemu, posądzając go niesłusznie o staranie pozyskania względów hrabiny, zaszkodzić był rad, Anglika posadził koło kuzynki. Zdaje się, że hrabina znowu starą metodą usiłując ostygłego Gabriela rozbudzić, powiedziała sobie, iż będzie z turystą zalotną, czarującą, niezwyciężoną. Niepotrzebowała się nawet wysilać na to, dość dla niéj chcieć było.

Młody Anglik mówił nieźle po francuzku, a towarzystwo polskie tym językiem dawniéj władało jak macierzystym, rozpoczęto przez grzeczność po francuzku rozmowę. Hrabina pierwszy kwadrans poświęciła ukradkowemu badaniu fizjognomji, ale po za angielskiego jakiegoś ułożenia jéj, nie wiele dobyć mogła. Sir William jadł z apetytem poniekąd obrażającym w sąsiedztwie pani, która powinna była popsuć mu go i kazać o głodzie zapomnieć.

— Czyżby i ten miał być ostygły i wyziębły jak Pilawski? spytała się w duchu. Sprobujmy. Zwróciła się natychmiast do niego.

— Wiesz pan, że będziesz pan pierwszym Anglikiem, który się odważył zawitać do tego zapadłego kąta dla zwiedzenia gór naszych, — zaczęła.

— Nie sądzę — odparł William, — dwóch podobno poprzedziło mnie przed laty, — zresztą dla czegożby to miało być trudniejszem nad łańcuchy Alp, innych odległych krajów, małoznanych i zwiedzanych? Główną trudnością dla mnie język, ale się zawsze znajdzie przecie tłumacza, a w ostatnim razie ludzie z ludźmi i ruchami porozumieć się mogą.

Hrabina się rozśmiała.

— A tak, ale tylko w elementarnych potrzebach, rzekła, i rozmowy na migi prowadzić trudno. Włosi najnamiętniéj gestykulujący ze wszystkich narodów, jakie znam, dodają wszakże słów po trosze. U nas, ruchy są prawie nieznane w rozmowie, chyba w wybuchach namiętności. Myśmy narodem północnym.

— Jak my — rzekł Anglik, ale potrzeba uczy wielu rzeczy. W podróżach człowiek nabywa instynkt turysty i radę sobie daje, jak może.

— I panowie macie tę cnotę, że wam nigdy nie braknie odwagi do niezwykłych rzeczy — dodała hrabina.

— Ja sądzę, że w mężczyznie odwaga i zuchwalstwo nawet, są cnotą, gdy cel uczciwy — rzekł Anglik.

— Przepraszam pana, zaśmiała się hrabina, która Williama brała widocznie w dzierżawę, nie dając nikomu wtrącić słowa do rozmowy, ale tu cel, zdaje mi się, jest — prosta ciekawość.

Anglik się uśmiechnął. — Ciekawość uczy, rzekł, a walka z nieznanem, z niebezpieczeństwy krzepi człowieka. Taka podróż to gimnastyka ciała i ducha.

P. Palczewska uczuła się pobitą i kwaśną zrobiła minkę.

— My także jedziemy trochę do Tatrów, rzekła, wprawdzie z pewnością nie będziemy mieli odwagi drapać się na najwyższe szczyty i rywalizować z dzikiemi kozami, ale zawsze coś zobaczyć musimy. Jeśli panu w czem służyć możemy, będziemy u siebie grali nieco rolę gospodarzy.

William skłonił się grzecznie. — Ale to prawdziwie szczęśliwa gwiazda poprowadziła mnie tu dla obejrzenia Pienin, na nich się wprawdzie zawiodłem, ale za to jestem stokroć zapłacony.

— A na Pieninach zawiodłeś się pan?

— Tak — odparł Anglik — bardzo to ładne, ale takich potoków i takich spiczastych szczytów i takich ładnych lasów wiele po świecie. Wegetacja żywa, lecz nie wiele urozmaicona, zresztą..

— Tatry panu to wynagrodzą! dorzucił ktoś.

— Jestem pewny, rzekł Anglik — wielem słyszał o ich piękności.

Tak rozpoczęta popłynęła rozmowa, w którą hrabina dolała wiele dowcipu napiętnowanego tą smiałością w kobiecie rzadką, którą charakterystyczną stronę jéj temperament stanowiła. Sir William zrazu słuchał fajerwerku słów, jakby zdumiony i olśniony, potem się sam ożywił i nastroił do tego samego tonu, i stał się bardzo miłym, począł opowiadać przygody swe w Ameryce, spotkania z Indjanami, wycieczki do Brazylji i Meksyku, podróże po Abruzzach, wędrówki po Alpach.. Słuchali go wszyscy z niezmiernem zajęciem, ale hrabina szczególniéj utrzymywała rozmowę. Wieczór przeszedł niepostrzeżonie szybko, a rozstając się uczyniono umowę by do Zakopanego jechać razem. Anglik tak przyćmił Pilawskiego, iż szczęśliwy Gabriel mógł pozostać spokojny w swem kątku i bawić się myślami, które z Dunajcem, nazad wracały ku Krynicy...

W Krynicy po wyjeździe hrabiny znacznie ucichło, młodzież nawet roztrząsała pilnie, czy warto było dawać piknik przed jéj powrotem, przewidując, iż wyda się za mało ożywionym i stosunkowo nie wesołym. Hrabina umiała wszędzie, gdzie była, przynieść z sobą ruch, uśmiech, wesele, ochotę do życia — promień młodości. Wieczory tylko u Aksakowicza zyskały na jéj wyjeździe, bo się tam znowu liczniéj zbierać zaczęto. I na tych schadzkach wszakże zgodnie wszyscy boleli nad odjazdem królowéj. Przyznawali jéj — nieprzyjaciele nawet, że była duszą towarzystwa. Jeden może pan Stanisław Grejfer, choć napozór się z tem nie wydawał, rad był prawie odjazdowi p. Palczewskiéj, nie dla niéj saméj, lecz że z sobą zabrała mu Pilawskiego, który stał na zawadzie. Z tych kilku słów, któreśmy o nim powiedzieli, wyrozumieć łatwo, iż pan Grejfer jeździł szczególniéj do wód na celu mając bardzo bogate ożenienie, któreby mu dało stosunki i postawiło go na pewnéj stopie. Tak dalece czuł potrzebę pozyskania téj podstawy do życia, iż gdyby pani Baronowa Ormowska cokolwiek była młodszą, gotów był nawet o nią się starać. Myślał potem o hrabinie — tu może się niepowiodło. Tak coraz o jeden stopień zniżając wymagania swoje, doszedł do postanowienia, że gotów by się już ożenić jakkolwiek *byle bogato*. Wyrozumował, że, bądź co bądź, fortuna daje pewniejszą rękojmię dla wyrobienia sobie pozycji, niż kolligacje i imię. Dawniéj — rodziny możne czuły się zawsze solidarnie związane ze wszystkiemi członkami swemi — dziś ten węzeł jeżeli nie pękł całkowicie, mocno przynajmniéj jest nadwerężony.

Szukając po Krynicy — *quem devoret*, pan Stanisław rzucił okiem pełnem pożądliwości na pannę Elwirę. Na nieszczęście nie wiedziano nic o pani Domskiéj i stosunkach jéj majątkowych, — zdawała się bogatą, ale pozory tak zawodzą! Szczególny traf pomyślny zrządził, iż nadjechała pani Jaworkowska, a Grejfer dostrzegł zaraz (choć ona unikała z tem popisu), że się te panie znały. Jak wszyscy ludzie na dorobku, Stanisław był niesłychanie giętki i zręczny. Państwa Jaworkowskich znał doskonale, oboje oni szacowali go, bo szlachcic domator widział na tym gościu z pod Baranów, z Krzeszowic i Łańcuta, opowiadającym często o dostojnych gospodarzach, — odblask państwa, które nawykł szanować. Grejfer w tym domu uchodził za bardzo wpływowego człowieka. Znając panią Jaworkowską zdawna i wszystkie jéj słabostki, Grejfer obrachował, że przez nią dowie się najpewniéj o Domskiéj i, — jeśli zasięgnięte wiadomości będą pomyślne, przez nią tym paniom polecony zostanie. Zacna matrona, będąc wiekuiście chorą, potrzebowała naprzód mieć kogoś, przed kim by się skarżyć mogła; powtóre lubiła — ot tak sobie — żeby mieć na posługach przyzwoitego człowieka.. Nie mając ani odrobiny zalotności, zajęta fluksją i dziećmi, przecież hołdy odbierała z przyjemnością i była za nie wdzięczną. Grejfer czule naprzód przemówiwszy, pokochawszy bardzo dzieci, — i przyznawszy się pod sekretem, że w ogóle kocha się w dziatkach, a te są takie śliczne, że ich niemożna nie zjadać — przywiązał się do pani Jaworkowskiéj, niewiasty prostodusznéj, którą łada pochlebstwem wziąć było łatwo. Wkradł się w wielkie łaski. Nosił parasole, prowadził chłopczyka na spacer, sprowadzał doktorów, godzinami siedział i słuchał opowiadania, jak fluksja narywa i jakie boleści znosi nieszczęśliwa męczennica. Rozmawiając tak o tem i owem, przyszedł Grejfer do egotycznych wynurzeń — jak mu to życie kawalerskie obrzydło, jakby się pragnął już osiedlić, zagospodarować, i t p. Nieznacznie, wypytywany przez dobrą przyjaciółkę, zeznał, jak na spowiedzi, iż mu się nieslychanie podobała panna Elwira, i że gdyby znał lepiéj położenie tych pań, ich stosunki, i czy mógłby mieć nadzieję być przyjętym, prosiłby może pani Jaworkowskiéj o protekcję. Jako osoba chora i sobą zajęta, zacna pani Marja, nie należała do tych namiętnych swach, które lubią żenić, pośredniczyć i kleić małżeństwo, wszakże czasem ją bawiło podać rękę zakochanemu, biednemu młodzieńcowi.

Usłyszawszy to wyznanie zamyśliła się mocno.

— Daj mi pan słowo honoru, panie Stanisławie, że mnie pan nie zdradzisz, że o tem nie powiesz nikomu, ale co się zowie nikomu, a ja — odezwała się Jaworkowska — odkryję panu bardzo ciekawe rzeczy, które mogą pana naprowadzić na drogę, jeżeli zechcesz. Pan Stanisław dał nietylko słowo honoru, ale gotów był je poprzeć przysięgą, a pani Jaworkowska przysunąwszy się z krzesełkiem po cichutku, opowiedziała mu w całéj rozciągłości historję pani Domskiéj, nie wyrzucając z niéj tego, że miała domy, kapitały i magazyn, który w najgorszym razie, gdyby nawet sprzedać przyszło, jeszcze znaczną wartość przedstawiał. Greifer wysłuchał z uwagą niezmierną, chłodny, zamyślony ucałował ręce dobrodziejki i oświadczył, że dla niego na jmniejszą nie byłoby przeszkodą to, że p. Domska tak zaszczytnie pracą własną dobiła się majątku i. t. d. Zaczęto tedy rozrachowywać, jak się do tego wziąć. P. Jaworkowska nie przeczyła, że o łaski panny starać się należało pilnie, ale dodała, że matki zaniedbywać nie można. P. Greifer od tego dnia codzień z panią Jaworkowską przychodzić zaczął i składało się tak, że albo ona zabawiała matkę, lub córkę, dozwalając p. Stanisławowi interes matrymonialny żywo popierać wedle okoliczności z jednéj i drugiéj strony.

W prostocie ducha a wielkiéj życzliwości swéj dla tego poczciwego Grejfera, Jaworkowska wydumała, ażeby pobożnie skłamać przed Domską i powiedzieć jéj, — że on, bywając w Berlinie, o położeniu jéj doskonale wiedział, znał całą historję. ale pełen taktu nikomu o tem ani wspomniał. Następnie wychwalała protektorka stosunki Grejfera arystokratyczne, jego wziętość, nadzieje swietnéj przyszłości podnosząc, i szepnęła, iż się formalnie do szaleństwa w Elwirze zakochał! Pierwszy krok był zrobiony. P. Domska więc miała dla córki pretendenta, któremu żadnych przykrych wyznań czynić nie potrzebowała. W miarę jak przyjaciółka robiła interesa panu Stanisławowi, on sam natarczywie zabiegał około panny Elwiry. Tu mu nie szło zupełnie. W pierwszych dniach spodziewając się chłód i uprzedzenie zwyciężyć — następnych postrzegł, iż zadanie było nadzwyczaj trudne.

Wszystko, czem miał oczarować pannę Elwirę, — nie sprawiło innego skutku nad zawód i upokorzenie. Grejfer w salonie bardzo świetny młodzieniec, mający wszelkie pozory wykształconego człowieka, umiejący się doskonale sprzedać drogo, mógł niechybnie wywrzeć pewne wrażenie na panience nie tak poważnie i łatwo patrzącéj na ludzi, nie tak głęboko sięgającéj po za salonową fizjognomję aktora wielkiego świata. — Najczęściéj się trafiało, że panna Elwira, dawszy mu się zapędzić w rozmowę bałamutną o sztuce, literaturze, muzyce, ścigała go potem pytaniami i zmuszała w końcu do sromotnéj z placu ucieczki. P. Elwira umiała daleko więcéj od niego i nierównie gruntowniéj. Nic jednak nie ma zarozumialszego nad nieuka.. Grejfer, poczciwie swe przypisując zawsze nieszczęściu, obiecywał sobie odwet na jutro. A gdy mu się w ogóle z panną nie wiodło, zwrócił się z podwojoną gorliwością ku matce, która już dla niego dobrze była usposobioną. P. Jaworkowska pomagała z całego serca. Domskiéj i to się szczególniéj uśmiechało, że Grejfer miał piękne stosunki i wstęp do najpierwszych domów, i że z nim gra była otwarta bez żadnych tajemnic. A chłopak tak przyzwoity, grzeczny, usłużny, tak matce nadskakujący. Silnem okiem śledząc wrażenie, jakie czynił na Elwirze, czekała pani Domska czy się ona nie odezwie, czy nie wspomni co, wreście jednego wieczora, gdy córka jéj powiedziała dobranoc, pocałowawszy w czoło, ujęła i zatrzymała za rękę.

(d. c. n).

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg)

— Zazdroszczę go panu, rzekła do Dombeya z westchnieniem i wznosząc oczy do sufitu, będzie ono tu prawdziwą pszczółką bujającą wśród ogrodu pełnego kwiatów wyborowych, których przedziwne soki kosztuje po raz pierwszy. Wirgiliusz, Horacy, Owidiusz, Terenciusz, Plaut, Cycero, — cóż to za bogactwo miodu najpyszniejszéj woni! Dziwi to może pana że się tak wyrażam, ale małżonka człowieka jakim jest...

— Dosyć, dosyć — przerwał doktór — przecież to nie wypada...

— Pan Dombey raczy przebaczyć stronność kochającéj żony, rzekła z przyjemnym uśmiechem pani Blimber.

— Ale nie — bynajmniéj — przerwał jéj Dombey, odnosząc to zaprzeczenie po stronności, nie zaś do przebaczenia.

— Tuszę także sobie iż zechce pan uwzględnić słuszną dumę matki... dodała pani Blimber.

— I to takiéj jeszcze matki — odpowiedział z ukłonem Dombey, przekonany że w tych słowach pomieścił zręczną pochwałę Kornelii.

— Myślę sobie nieraz, mówiła znowu pani Blimber, że gdybym mogła była znać osobiście Cycerona, być jego przyjaciółką, rozmawiać z nim w onéj cudnéj ustroni Tusculum, umarłabym całkiem szczęśliwa.

Jakże udzielającym się jest zapał nauki! W téj chwili zdawało się Dombeyowi, że był w temże samym usposobieniu co pani Blimber, a nawet pani Pipchin, zwykle nie bardzo skora do podzielania czyjegoś zdania, wydała z piersi mrukliwe jakieś westchnienie, które zapewne miało znaczyć, iż jedynie stosunek z Cyceronem mógł ją był pocieszyć po ciężkiéj stracie, jaką poniosła w peruwiańskich kopalniach.

Kornelia spojrzała przez okulary na Dombeya, jakby miała zamiar wyprobowania go niektóremi ustępami z dzieł owego krasomówcy, ale zanim tę chęć zdołała w czyn zamienić, zastukano z lekka do drzwi.

— Kto tam? spytał doktór. A! to Toots — dodał ujrzawszy wchodzącego — wejdź no — to nasz uczeń Toots, panie Dombey.

Chłopak ukłonił się niezgrabnie.

— Dziwny to traf zaprawdę — rzekł Blimber. Oto mamy naraz przed sobą alfę i omegę zakładu— najstarszego i najmłodszego z pomiędzy naszych uczniów — Toots — to jest czoło naszéj gromadki, łaskawy panie.

Bardzo zmięszany widząc się celem uwagi tylu obcych ludzi, Toots roześmiał się na cały głos, zaczerwieniony po uszy.

— Panie Toots, rzekł doktór, oto jest syn pana Dombeya, inaczéj mówiąc, mały przyczynek do naszego wspaniałego gmachu.

Toots coraz bardziéj zmięszany i sądząc że wśród ogólnéj ciszy wypadło mu coś powiedzieć, rzekł do Pawełka:

—Jak się pan miewa?

Głos tego chłopaka miał w sobie coś tak beczącego, że przypominał koniecznie owczarnię.

— Proszę cię Toots zawołasz mi pana Federa, rzekł doktór, a także powiesz mu że ma przygotować spis książek potrzebnych do wstępnych nauk młodego pana Dombeya i wybrać mu miejsce do lekcji. Żono, dodał, zdaje mi się że pan Dombey nie widział jeszcze sypialni.

— Jeśli pan raczy pójść ze mną na górę, rzekła pani Blimber, będzie to dla mnie prawdziwym zaszczytem oprowadzić go po państwie Morfeusza.

To rzekłszy, pani ta odeszła z wdzięcznym uśmiechem na ustach, w towarzystwie Dombeya i pani Pipchin. Kornelia poszła także za niemi.

Pawełek pozostał w pokoju, ciągle siedząc na stole i nie puszczając ręki Florci, a zarazem spoglądając niekiedy ukradkiem na doktora i rozpatrując się wkoło siebie. Blimber tymczasem rozparty w krześle i z ręką w zanadrzu, czytał trzymając książkę najdaléj jak tylko mógł od siebie. Ów sposób czytania miał w sobie coś bardzo dla oka wspaniałego, tem bardziéj że zostawiał całkiem na widoku twarz spokojną, niby skamieniałą od pracy. Niekiedy, doktór się uśmiechał jakby zadowolony z autora, czasem znowu ściągał brwi z nieukontentowaniem i potrząsał głową, a wtedy rysy jego mówiły wyraźnie: mój panie, znam ja te rzeczy trochę lepiéj od ciebie, — i wyraz ich pogardliwy świadczył o prawdzie tego twierdzenia.

Toots stał ciągle w miejscu, nie bardzo wiedząc co ma z sobą począć, dla szyku jednak dobył parę razy zegarek z kieszeni i szukał czegoś w sakiewce, ale gdy znagła Blimber zrobił ruch jakiś poprawiając się w krześle, zdało się Tootsowi że groźny doktór wstać zamierza, i w jednéj chwili znikł z pokoju gdzie się też więcéj nie pokazał.

Nie długo potem, usłyszano w korytarzu głos Dombeya wracającego z paniami.

— Mam nadzieję, rzekł do niego doktór odkładając na bok książkę, że urządzenie i systemat naukowy naszego zakładu pozyskały pańską aprobatę.

— Nie mam im nic zgoła do zarzucenia, odpowiedział Dombey.

— Zapewne, wszystko jest jak należy, dodała półgłosem pani Pipchin, nie bardzo skora swoim zwyczajem, cokolwiek bądź u kogo pochwalać.

— Jeśli państwo na to pozwolą, rzekł Dombey, radbym aby pani Pipchin odwiedzała niekiedy Pawełka.

— I owszem, może się z nim widywać ile razy będzie chciała, odpowiedział doktór.

— Odwiedziny jéj będą dla mnie prawdziwą przyjemnością, dodała pani Blimber.

— Sądzę, rzekł wstając Dombey, że aż nadto już czasu państwu zabrałem. Bywaj zdrów, mój synu, do zobaczenia.

— Do zobaczenia ojcze, powtórzyło za nim dziecię.

Posępnie zadumany wyraz twarzyczki Pawełka nie zgadzał się z martwą obojętnością rączki, którą Dombey trzymał w swéj dłoni. Ależ bo w wyrazie tym była myśl o Florci, i o jednéj tylko Florci.

Zrozumiał to dobrze ojciec i cierpienie owego dumnego człowieka było tak dotkliwem w téj chwili, że zajrzawszy w głąb jego duszy, najzawziętszy nieprzyjaciel byłby mu przebaczył.

Dombey pochylił się ku synowi, żeby go pocałować, a wtedy zdało się jakby chmurka zaciemniła twarz dziecięcia, a w zamian to co wewnątrz jego się działo, stało się dla ojca bardziéj jeszcze wyraźnem.

— Radbym cię jak najprędzéj zobaczyć, rzekł do syna, wiesz o tem że będziesz miał wolne soboty i niedziele.

— Soboty i niedziele, powtórzył Pawełek patrząc na siostrę.

— Staraj się korzystać z nauk, które tu masz pobierać, abyś się stał człowiekiem światowym i górującym nad drugiemi. Wszakże chcesz być takim?

— Sprobuję, odpowiedział Pawełek, z wyrazem twarzy znękanym.

— Teraz już niedługo dorośniesz, rzekł Dombey.

— Niedługo — powtórzył mały Dombey.

I znowu, dziwny ów wyraz dojrzałości zabłysł w jego wejrzeniu, ale gdy wejrzenie to padło na czarną suknię pani Pipchin, zagasło jakby wchłonięte w jéj ciemności. Poczciwa czarownica zbliżała się właśnie do Florci, żeby ją wyprowadzić z pokoju, czego już oddawna pragnęła. Widząc ją zabierającą się do odejścia, Dombey dotąd zapatrzony na syna poszedł za jéj przykładem. Uścisnął raz jeszcze drobną rączkę Pawełka i poklepał go po głowie, potem pożegnawszy doktora i jego rodzinę odszedł ze zwykłą sobie chłodną powagą.

Cała gromada Blimberów ruszyła ku drzwiom aby go odprowadzić, jakkolwiek się od téj grzeczności wypraszał; skutkiem tego pani Pipchin znalazła się tak otoczoną że musiała wyjść nie zdoławszy pochwycić ręki Florci. Szczęśliwemu owemu trafowi zawdzięczył Pawełek słodkie wspomnienie ostatniego siostry uścisku i wrażenie łzawo uśmiechniętego wejrzenia, którem mu przesyłała otuchę i nadzieję, gdy się po raz ostatni od progu ku niemu obejrzała.

Gdy słodki ów uśmiech zeszedł mu wreszcie z oczu i drzwi się za Florcią zamknęły, piersi Pawełka podniosły tak gwałtowne łkanie, że globusy i książki, a nawet Homer i Minerwa, poczęły niby kołować szalonym wirem wokoło stołu na którym siedział. Ale po pewnym czasie wszystko stanęło jakby uciszone miarowym głosem zegara, który znowu się zdawał powtarzać ponure: jak się miewasz, mój mały paniczu?

Pawełek złożył rączki na kolanach i słuchał w milczeniu. Zaprawdę, mógł był odpowiedzieć: Miewam się bardzo nudno, smutno, rozpaczliwie. Straszliwa pustynia zrobiła się naraz wokoło niego, wszystko na co patrzał było takie dziwne, dzikie i mrożące, że życie zdawało się w nim zatrzymywać, i siedział tak zdrętwiały i nieruchomy, jak popsuty zegarek daremnie wyczekujący przybycia zegarmistrza.

I.

Dalsze kształcenie Pawełka.

Po kilku minutach, które zdawały się godzinami biednemu dziecku, doktór Blimber powrócił do pokoju. Postawa jego majestatyczna wyraźnie obliczona na wywołanie uroczystego nastroju w młodocianym umyśle nowego ucznia. Był to rodzaj zwycięzkiego pochodu, którego każdy krok zdawał się wyraźnie mówić: Jestże kto na świecie, co był w stanie czegoś mię nauczyć?

Żona i córka doktora weszły z nim razem. Blimber zsadziwszy Pawełka ze stołu, powierzył go opiece téj ostatniéj.

— Do ciebie rzekł, należeć będzie posuwać go jak najusilniéj naprzód. Dodaj do tego wszelkich starań.

Pawełek czując okulary panny Kornelii na siebie zwrócone, spuścił mimowolnie oczy.

— Ile masz lat, Dombeyu? spytała go.

— Sześć, odpowiedział.

To mówiąc, spojrzał na nią ukradkiem i zapytał siebie ze zdziwieniem: dla czego ta pani nie miała takich włosów jak Florcia, i dla czego wyglądała jak chłopiec.

— Jak daleko już zaszedłeś w łacińskiéj grammatyce? spytała go znowu panna Blimber.

— Nie uczyłem się jéj wcale dotychczas, odpowiedział.

Odgadując jednak rodzajem przeczucia, że podobne wyznanie mogło boleśnie zranić Kornelię, Pawełek spojrzał nieśmiało na owe troje twarzy nad nim pochylonych i rzekł:

— Byłem ciągle chory, dla tego nie mogłem się uczyć łaciny. Wychodziłem codzień na przechadzkę ze starym Glubbem, więc nie miałem czasu do nauki. Chodziłem zawsze z Glubbem. Chciałbym żeby on tu przyszedł kiedy do mnie.

Glub! Cóż to za pospolite nazwisko! zawołała panna Blimber. Co za gminne i nie klasyczne miano! Jakimże musi być potworem człowiek tak nazwany, dodała z wyrazem najwyższego wstrętu.

— Takim samym jak pani, odpowiedział Pawełek.

— Co to znaczy? zawołał grzmiącym i całkiem nowym głosem doktór; no, no, ostrożnie mój kawalerze.

Pawełek przeraził się okropnie, wszelako sprobował odezwać się jeszcze w obronie swego starego przyjaciela.

— To bardzo poczciwy człowiek, rzekł drżącym głosem; ciągnął zawsze mój wózek na przechadzce i różne mi rzeczy opowiadał. On wie o wszystkiem co jest w morzu, mówił mi o rybach ogromnych, które uciekają na dno kiedy je kto przestraszy, a tak wtedy sapią i wodę rozpryskują, że je o mil kilka słychać. Opowiadał także o jakichś bardzo długich i bardzo strasznych stworzeniach, już zapomniałem jak się nazywają, ale Florcia wie to dobrze, — otóż Glubb powiada że one nieraz wychodzą na brzeg i udają jakby zdychały, a jak się człowiek do nich zbliży, to otwierają ogromną paszczę i na niego się rzucają. Jeśli się wtedy chce uratować, dodał Pawełek zwracając się z odwagą nauki do samego doktora, to musi uciekając wykręcać się w różne strony, bo te zwierzęta są takie długie, że nie łatwo im się obracać, więc tylko tym sposobem można od nich uciec. O, mój stary Glubb wie o bardzo wielu rzeczach, ale jednak nie umiał mi powiedzieć dla czego patrząc na morze myślę zawsze o mojéj mamie, która umarła, i także nie wie co to tak zawsze mówią pomiędzy sobą bałwany. Bardzobym chciał, dodał nieśmiało, tracąc znagła chwilową odwagę, gdy wyraz owych trzech twarzy, które go otaczały przypomniał mu znowu jego osamotnienie, — bardzobym chciał żeby pan pozwolił staremu Glubbowi czasem mię odwiedzać, on mię tak lubi, a ja jego także.

— Ho, ho, rzekł doktór kiwając głową, nie mało tu jak widzę złego do naprawienia, ale potęga nauki może zdziałać wiele.

Pani Blimber, osoba wielce wrażliwa i delikatna, oświadczyła z dreszczem nerwowym, że takiego dziecka nigdy w życiu nie widziała i poczęła przypatrywać się Pawełkowi tak uważnie jak to przedtem czyniła pani Pipchin.

— Oprowadź go po mieszkaniu Kornelio, rzekł doktór; potrzeba żeby się oswoił z nową sferą w którą wchodzi. Dombeyu, idź z tą panią.

Pawełek podał rękę pannie Blimber, i idąc z nią przypatrywał się jéj ukradkiem z lękliwą ciekawością, bowiem okulary mądréj panny błyszczały w téj chwili tak tajemniczo od padającego na nie światła, że ani pobożna dojść było czy miała oczy pod temi szkłami.

Kornelia zaprowadziła naprzód do sali klassowéj, oddzielonéj od bawialnych pokojów drzwiami starannie opatrzonemi, w celu stłumienia wszelkiego odgłosu jakiby ztamtąd dochodził. Znajdowało się w niéj dziewięciu uczniów, przedstawiających rozmaite stopnie zamarłości umysłowéj; co prawda, wszyscy wyglądali bardzo poważni i wyłącznie zajęci nauką. Toots, jako najstarszy i używając zatem pewnych przywilejów, miał w kącie osobny pulpit z po za którego wydał się być Pawełkowi mężczyzną już dorosłym, wyglądającym bardzo okazale.

Pan Feder, kandydat filologii, siedział nieco na uboczu za drugim pulpitem, i ztamtąd w świdrowywał cierpliwie swą codzienną przygrywkę w uszy czterech chłopaków umieszczonych naprzeciw niego. Z czterech pozostałych uczniów, dwóch trzymało się rozpaczliwie oburącz za czoło, nie mogąc pokonać matematycznego jakiegoś zadania, trzeci z twarzą zalaną łzami i pomazaną atramentem, walczył z przerażającą ilością wierszy które miał przepisać do obiadu, ostatni zaś zapatrzony z niemą rozpaczą w zadaną mu lekcję, pozostawał tak martwy i nieruchomy od samego śniadania, jakby ubezwładniony ogromem swojego nieszczęścia.

Wejście nowego towarzysza nie sprawiło pomiędzy uczniami wrażenia, jakiego w podobnym razie można się było spodziewać. Feder, mały człowieczek, który — nawiasem mówiąc — podgalał sobie dla powagi głowę już i tak sporo łysą, — podał Pawełkowi swą kościstą rękę, mówiąc że bardzo rad jest go poznać, na co nie otrzymał żadnéj odpowiedzi.

Spełniając rozkaz swéj przewodniczki, Pawełek podał rękę z kolei czterem chłopcom, siedzącym naprzeciw Federa, potem uczynił też samą grzeczność nieszczęśliwcom, oddanym w téj chwili rozmaitym rodzajom męczarni.

Ponieważ Pawełek został już poprzednio przedstawiony Tootsowi, ten się ograniczył na powitaniu go uśmiechem, przyczem mruknął coś pod nosem i wyprostował się poważnie, potem wrócił do swego zajęcia. Nie było ono, co prawda, wielce uciążliwem, ze względu bowiem iż młodzieniec ów przeszedł już był cały kurs naukowy zakładu i uważany był jako okaz w pełni swego rozkwitu, dozwolonem mu było wykończać dowolnie swe wykształcenie, przy pomocy światłych rad swych zwierzchników. Otóż, jak na teraz, wykończanie to polegało głównie na układaniu długich listów, które Toots pisywał sam do siebie w imieniu różnych znakomitych osób i które potem starannie w biórku zachowywał.

Pokazawszy Pawełkowi salę, panna Blimber zaprowadziła go na górne piętro domu, co było wyprawą dość długą z tego powodu, iż malec musiał stawać obiema nóżkami na każdym schodzie zanim daléj postąpił. Wreszcie doszli do obszernego pokoju z widokiem na morze; tam panna Kornelia wskazała Pawełkowi przy oknie stojące ładne łóżeczko z białą kotarą, nad którem już wisiała karta że starannie wypisanem nazwiskiem: Dombey. Dwa inne łóżeczka będące w tymże samym pokoju, miały nad sobą nazwiska: Briggs i Totzer.

Gdy Pawełek schodził znowu po schodach wracając do klassy, ujrzał młodego służącego, który tak śmiertelnie obraził był panią Pipchin słabym swym wzrokiem, biegnącego z szaloną szybkością do jakiegoś bębna zawieszonego w powietrzu, w który uderzył po kilkakroć silnie laską. Pawełek zląkł się bardzo, sądząc że ów służący może zwarjował, albo że był w wielkiéj złości, lecz się wielce zdziwił gdy po chwili ujrzał go oddalającego się spokojnie, narobiwszy tyle hałasu. W tedy Kornelia zawiadomiła Pawełka, że obiad zostanie podany za kwadrans i kazała mu iść tymczasem do klassy i pozostać tam z towarzyszami.

Pawełek przeszedł z trwożnem poszanowaniem przed zegarem, który zdawał się ciągle pytać równie troskliwie o jego zdrowie i otworzywszy ostrożnie drzwi które za sobą zamknął nie bez pewnéj trudności, wszedł do sali klassowéj. Przez czas jakiś, błąkał się po niéj całkiem osamotniony. Oprócz skamieniałego nad niemożliwem zadaniem ucznia, którego zastał w téjże saméj postawie co i przedtem, wszyscy inni porozchodzili się byli. Feder zaś, przeciągał się tak mocno w swym szaraczkowym surducie, że zdawało się iż postanowił wyprobować o ile silnie zostały w nim wszyte rękawy.

— Brrr! odezwał się wreszcie, ziewając rozgłośnie i wstrząsając się jak koń, któremu bąk usiadł na grzbiecie — o! dla Boga!

Groźny odgłos tego ziewnięcia i olbrzymie jego rozmiary zatrwożyły mocno Pawełka. Wszystkie dzieci, z wyjątkiem Tootsa, były w przyległym pokoju zajęte poprawieniem swego ubrania lub myciem rąk do obiadu.

Toots całkiem już gotów i swobodny jak zawsze, zwrócił się z właściwą sobie prostaczą dobrodusznością do Pawełka i rzekł:

— Siadaj no tu, Dombeyu.

— Dziękuję panu, odpowiedział chłopczyk, usiłując się wdrapać na wysokie krzesło z którego po dwakroć się zsunął.

Usiłowania te nasunęły Tootsowi pełną trafności uwagę.

— Jesteś jeszcze bardzo mały, rzekł.

— Tak, — bardzo jestem mały, odpowiedział Pawełek.

— U jakiego ci krawca robią ubranie? spytał Toots, przypatrując się jego odzieniu.

— Dotąd, szyła moje sukienki szwaczka mojéj siostry.

— Ja sobie każę robić u Burgena i Współki, to bardzo elegancki krawiec, ale djable drogi.

Pawełek spojrzał z kolei na ubranie Tootsa. Ten rzekł po chwili:

— Twój ojciec jest co się zowie bogaty?

— O tak, bardzo bogaty, to Dombey i Syn.

— I kto?.. spytał Toots.

— I syn, proszę pana.

Toots powtórzył sobie parę razy półgłosem tę odpowiedź, jakby ją chciał w pamięć sobie wrazić, ale gdy mu się to nie bardzo jakoś udawało, postanowił poprosić nazajutrz Pawełka, żeby mu to nazwisko powtórzył. Zależało mu na tem niemało, gdyż zamierzał napisać niezwłocznie do siebie w imieniu Dombeya i syna.

Tymczasem inni uczniowie schodzili się po trochu do sali. Były to dzieci grzeczne i przyzwoite, ale wyglądały jakoś przygnębione i rozmawiały z sobą tak cicho i bez ożywienia, że w porównaniu z niemi mały Bitherstone, posiadający wszakże głębokie przeświadczenie smutnéj swéj doli, wydawał się szalenie wesołym i dowcipnym.

— Wszak będziesz mieszkał w jednym ze mną pokoju? rzekł do Pawełka chłopak noszący tak wysokie kołnierzyki, że aż mu uszy podpiłowywały.

— Pan się zowie Briggs? spytał mały Dombey.

— Nie, Totzer odpowiedział chłopak. Tamten oto, to Briggs, dodał wskazując na skamieniałego ucznia.

Pawełek już to odgadł był dziwnem jakiemś przeczuciem.

— Czy masz dobre zdrowie? spytał go znowu Totzer.

Pawełek odpowiedział że nie był tego pewien.

— I mnie się to pewnem nie zdaje, rzekł Totzer. Szkoda, bo tu zdrowie bardzo potrzebne.

Potem zapytał się Pawełka czy ma rozpocząć nauki pod kierunkiem panny Kornelii, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, wydał z piersi cichy jęk, któremu zawtórowali inni uczniowie z wyjątkiem oniemiałego Briggsa.

Jęk ów został wszelako zaraz zagłuszony rozgłośnem odezwaniem się bębna, które słysząc wszyscy uczniowie rzucili się ku drzwiom jadalnéj sali. Jeden tylko Briggs, pozostał w miejscu nieruchomy. Po chwili Pawełek siedział u stołu, w towarzystwie rodziny doktora.

Doktór Blimber zajmował pierwsze miejsce, mając po obu stronach żonę i córkę. Feder zaś siedział u przeciwnego bieguna, to jest na szarym końcu, ubrany we frak czarny. Krzesełko Pawełka było obok miejsca panny Kornelii, ale ponieważ, gdy na niem usiadł, okazało się że brwi jego wypadały na równi ze stołem, podwyższono to siedzenie za pomocą kilku książek wziętych z gabinetu doktora. Od tąd codzień Pawełek przynosił je i odnosił w tym celu, dźwigając te grube wolumina, niby mrówka znosząca materjały do budowy swego mrowiska.

Gdy doktór skończył odmawiać pacierz, obiad się rozpoczął. Zupa była bardzo dobra, potem podano dwa mięsa, po nich nastąpiła legumina i wreszcie ser na zakończenie. Każdy z uczniów miał srebrny sztuciec i czystą serwetę, i w ogóle wszystko przy tym obiedzie wyglądało bardzo pokaźnie. Był nawet i kamerdyner w granatowym fraku ze złotemi guzikami, nalewający piwo w sposób bardzo uroczysty i odbywający swe czynności około stołu z cichością prawdziwie arystokratyczną.

Rodzina doktora prowadziła wyłącznie rozmowę, uczniowie odzywali się tylko gdy im zadawano jakie pytanie. Ilekroć który z nich nie był zajęty jedzeniem, wzrok jego jakby pociągnięty nie przepartą siłą, szukał wzroku doktora, jego żony lub córki i nieśmiało na niem spoczywał. Jeden tylko Toots stanowił w tym względzie wyjątek. Siedział on obok Federa, po téj saméj stronie co Pawełek, na którego coraz spoglądał, wychylając się naprzód, lub w tył się przeginając, żeby lepiéj go dostrzedz.

Raz tylko jeden w ciągu obiadu, rozmowa wzięła obrót który zdał się uczynić możebnym współudział młodzieży. Miało to miejsce właśnie gdy ser obnoszono, Blimber wypiwszy kieliszek Oporto i odchrząknąwszy parę razy, rzekł:

— Panie Feder, uważam to za rzecz godną zastanowienia iż Rzymianie...

Słysząc nazwisko najzaciętszych swoich wrogów, uczniowie wszyscy zwrócili wzrok ku doktorowi, z wyrazem najżywszego zajęcia. Jeden z nich, zbliżający właśnie szklankę do ust, przeraził się tak straszliwie ujrzawszy błyszczące u jéj zrębu oko Blimbera, iż przełknąwszy piwo zbyt szybko, zakrztusił się niem w najstraszliwszy sposób.

— Uważam za rzecz godną zastanowienia, rozpoczął znowu spokojnie doktór, przeczekawszy ów niewczesny paroksyzm, iż Rzymianie, w owych wspaniałych ucztach z czasów cesarstwa, których opisy nam pozostały, przy wymaganiach tak niesłychanego zbytku, że na zadowolenie jego obszerne kraje musiały się składać...

Tu zakrztuszony winowajca nie mogąc dłużéj się powstrzymać, ani doczekać pożądanéj przerwy, zakaszlał rozgłośnie parę razy.

— Napij się wody, Iohnsonie, rzekł z cicha Feder z wyrazem nieukontentowania.

Doktór którego twarz przybrała była wyraz bardzo surowy, zaczekał dopóki wody nie podano; potem rzekł:

— Otóż chcę ci zrobić uwagę, panie Feder..

Ale w tem zamilkł, spostrzegłszy że żadna uwaga uczyniona Federowi nie mogła być w téj chwili od niego usłyszaną. Był on bowiem całkiem zajęty zakrztuszonym uczniem, od którego wyczekiwał z trwogą lada chwila nowego wybuchu.

— Najmocniéj pana przepraszam — odezwał się Feder mocno zmięszany surowem wejrzeniem doktora, które jakby magnetyczną siłą wzrok jego ku sobie pociągnęło.

— Otóż powiem panu, ciągnął daléj Blimber, podnosząc głos coraz bardziéj — że jeśli czytamy i nie mamy prawa o tem wątpić, jakkolwiek się to ludziom mniéj światłym wydaje nie do uwierzenia— że brat Witelliusza wyprawiał dla niego ucztę na któréj ryb samych było aż dwa tysiące półmisków...

— Napij się jeszcze wody, Iohnsonie, szepnął znowu Feder swemu sąsiadowi.

— Ptastwa zaś przeszło pięć tysięcy półmisków, mówił w dalszym ciągu Blimber.

— Albo sprobuj zjeść skórę od chleba, dorzucił z cicha Feder.

— Nie mówiąc już o onéj misie, prawił daléj doktór spoglądając wokoło stołu i mówiąc coraz głośniéj, — nazywanéj z powodu olbrzymich jéj rozmiarów tarczą Minerwy, a na któréj podawano najkosztowniejsze przyprawy, jako to: muszczki bażantów...

Gwałtowny paroksyzm duszącego się od kaszlu Iohnsona, przerwał znowu to pouczające opowiadanie.

— ...Serca bekasów, oraz ikrę ryby zwanéj scari...

— Nie wstrzymuj się Iohnsonie, bo ci jeszcze jaka żyła pęknie w głowie, rzekł mu na ucho Feder...

— Także skrzele lampredy które przywożono aż z Karpackiego morza, mówił daléj doktór głosem bardzo zawsze surowym. Kiedy czytamy, powtarzam, podobne opisy, a z niemi zestawiamy wyobrażenie takiego naprzykład Tytusa...

— Wielki Boże! cóżby powiedziała twoja matka gdybyś tu umarł z apopleksyi! szeptał przerażony Feder.

— Takiego Domicyana.

— Toż doprawdy już całkiem zsiniałeś.

— Nerona, Tyberyusza, Kaliguli, Heliogabala i tylu innych, — kończył wytrwale doktór musimy zaprawdę przyznać — panie Feder radbym mieć zaszczyt być od pana słuchanym, musimy powiadam przyznać, że podobne rzeczy są bardzo, a nawet jak najbardziéj zastanawiające.

Ale w tem miejscu Iohnson, stanowczo już pokonany od kaszlu, wpadł w parokzyzm tak gwałtowny że upłynęło z jakie pół kwadransa zanim się uspokoił, jakkolwiek przez ten czas najbliźsi sąsiedzi tłukli go pięściami w plecy, Feder usiłował poić go wodą, a kamerdyner probował ratować podnosząc mu głowę w górę. Gdy wreszcie minął ów napad, nastała cisza głęboka.

— Panowie, proszę wstać, będziemy odmawiali pacierz, rzekł doktór.

Kornelia z sadziła z krzesła Pawełka, któremu zaledwie wierzch głowy wyglądał z po za obrusa, gdy stanął na ziemi.

— Iohnsonie powiesz mi jutro na pamięć po grecku i to przed śniadaniem, pierwszy list św. Pawła do Efezjan. A teraz żegnam panów; za pół godziny lekcje się rozpoczną.

Uczniowie ukłonili się i wyszli, toż samo uczynił i Feder. Przez czas rekreacji, przechadzali się parami po małym dziedzińczyku od tyłu, usiłując wywołać jakąś iskrę życia w nieszczęśliwym Briggsie, odzywając się coraz do niego. Ale nie odbywała się tam żadna zabawa ubliżająca powadze owego przybytku nauki. W czasie oznaczonym, bęben odezwał się znowu i uczniowie rozpoczęli zwykłe lekcje.

Oprócz owéj po dziedzińcu przechadzki, stanowiącéj część olimpijską rekreacyjnych igrzysk, miewała jeszcze miejsce druga, odbywająca się zazwyczaj przed herbatą. Przed wieczorem zatem, wszyscy uczniowie udali się na wybrzeże. Towarzyszył im doktór Blimber, prowadzący za rękę Pawełka, który skutkiem tego zaszczytu wydawał się jeszcze mniejszym niż był w istocie.

Herbata została podana niemniéj wykwintnie jak obiad, zaraz po niéj uczniowie odeszli do swéj sali dla wykończenia wieczornéj roboty i otrzymania zadań na dzień następny. Potem Feder odszedł do swego pokoju; Pawełek zaś pozostał sam jeden w kącie, myśląc co też porabiała o téj godzinie Florcia i co się działo u pani Pipchin.

Toots, który był dość długo zajęty pisaniem obszernego listu do księcia Wilingtona, odkrył wreszcie Pawełka w jego schronieniu. Popatrzywszy na niego przez czas jakiś w taki sam sposób jak pierwéj spytał go czy lubi ładne kamizelki?

— Lubię, odpowiedział Pawełek.

— I ja także, rzekł Toots.

Przez resztę wieczoru nie odezwał się więcéj do małego Dombeya, ale spoglądał często życzliwie na niego, że Pawełek nie był usposobiony do rozmowy, ten sposób dotrzymywania mu towarzystwa wystarczał mu najzupełniéj.

Około ósméj, bęben dał się znowu słyszeć, wzywając dzieci do wieczornéj modlitwy. Odbyła się ona w jadalnéj sali i potem doktór rzekł:

— Panowie, rozpoczynamy jutro nauki o siódméj...

W téj chwili, Pawełek przekonał się po raz pierwszy że Kornelia miała oczy pod okularami. Dostrzegł bowiem że patrzyła na niego. Gdy doktór przestał mówić, uczniowie skłonili się i odeszli.

Przy bliższem poznaniu w czasie rozbierania się, Briggs wyznał Pawełkowi że go tak głowa bolała jakby pęknąć miała, i dodał że gdyby nie matka którą bardzo kochał i szpak którego zostawił w mieszkaniu, to z chęcią radby zakończyć to nędzne życie. Totzer nie wiele się odzywał, tylko wzdychał często i ostrzegał Pawełka, żeby się miał na ostrożności, bo od jutra przyjdzie kolej na niego. Wyrzekłszy te prorocze wyrazy, rozebrał się posępnie i spać się położył. Wszyscy trzéj uczniowie byli już w łóżkach, kiedy przyszedł służący zabrać świecę z pokoju. Wychodząc życzył im znów przyjemnych marzeń, ale ani Toots, ani Briggs nie doznali na sobie spełnienia owych życzeń, Pawełek który bardzo długo zasnąć nie mógł i potem także często się przebudzał, miał sposobność się przekonać że Briggs był we śnie dręczony swą lekcją jak zmorą! Totzer zaś, jakkolwiek w mniejszym stopniu prześladowany tem samem utrapieniem, rozmawiał wszelako przez sen jakiemiś nieistniejącemi językami, lub też może po grecku i po łacinie, co dla Pawełka wychodziło całkiem na jedno i sprawiało na nim wśród ciszy nocnéj, niesłychanie dzikie i przerażające wrażenie.

Zmęczony długiem czuwaniem Pawełek zasnął wreszcie i przyśniło mu się, że był z Florcią w jakimś prześlicznym ogrodzie. Przechadzając się po nim, zatrzymali się niby przed ogromnym słonecznikiem, aby mu się przyjrzeć, ale w tem kwiat ów zmienił się w bęben, którego uderzenia zbudziły

Pawełka. Gdy otworzył oczy, ujrzał przez szyby szare i rozpłakane niebo, na dworze wiatr wył posępnie, a od sali dochodził na prawdę donośny rozgłos bębna, mający tą razą polecenie zbudzenia uczniów ze snu.

Podniosłszy się, Pawełek ujrzał Briggsa, naciągającego buty bardzo pośpiesznie, podczas gdy Totzer jeszcze się przeciągał, drżąc cały od zimna. Biedny Briggs miał oczy tak zapuchłe że je zaledwie widać było, tak mu twarz zbrzękła od zmartwienia i bezsenności. Biedny Pawełek nie umiał sam się ubrać gdyż go do tego nie przyzwyczajono, poprosił więc towarzyszy aby mu pomogli związać jakieś tasiemki, ale mu Briggs powiedział spokojnie, żeby go nie nudził, Totzer zaś, zajęty odzyskiwaniem straconego na ziewaniu czasu, ani nawet słyszał jego prośby. Zostawiony zatem własnym siłom, mały Dombey dał sobie rady jak mógł, ubrawszy się zeszedł zaraz na dół,gdzie zastał młodą jakąś i przystojną kobietę w zamszowych rękawiczkach zajętą obczyszczaniem kaflowego piecyka. Widząc Pawełka, okazała niejakie zdziwienie, potem spytała go czy miał matkę i gdzie była. Odpowiedział że już dawno nie żyła, potem poprosił służącej żeby mu coś w ubraniu popoprawiała. Zdjęła śpiesznie rękawiczki i zrobiła czego chciał, potem roztarła mu rączki widząc że zimne były i uściskawszy go powiedziała, że mu zawsze pomoże w czemby tylko potrzebował, byleby do niej się udał. Dodała, że się nazywa Amelja i że zawsze z rana sprząta w tym pokoju. Pawełek bardzo jéj podziękował i odszedł chcąc się udać do sali klassowéj, ale gdy przechodził przed jakiemiś drzwiami na wpół otwartemi, usłyszał zapytanie:

— Czy to Dombey?

Był to głos panny Kornelii. Gdy usłyszała potwierdzającą odpowiedź,zawołała Pawełka do siebie.

Panna Blimber wyglądała zupełnie tak samo jak w dniu poprzednim z tym tylko dodatkiem, że obecnie miała dużą chustkę na sobie i włosy jéj były bardziéj kędzierzawe i najeżone. Okulary miała już na nosie, co widząc Pawełek pozostał w przekonaniu, że ich na noc nie zdejmowała. Mieszkanie jéj składało się z małego pokoiku, w którym nie brakło książek, ale za to nie było pieca co z resztą mało obchodziło pannę Kornelję, któréj nigdy zimno nie bywało, ani też spać się nie chciało.

— Weź to z sobą, Dombeyu, rzekła do Pawełka wskazując mu sporą kupkę książek całkiem nieużywanych, na boku odłożonych, to są twoje książki.

— Wszystkie? spytał zdziwiony.

— Wszystkie, a niezadługo pan Feder da ci inne jeśli będziesz tak pilnym jak się tego spodziewam.

— Dziękuję pani, rzekł Pawełek.

— Słuchaj dobrze co ci powiem Dombeyu, mówiła daléj panna Blimber. Wychodzę teraz i nie wrócę aż na śniadanie, otóż do tego czasu masz przeczytać to co przekreśliłam w tych książkach. Powiesz mi potem czy z łatwością pojmujesz co ci jest zadane. Tylko nie trać czasu, zabierz książki i idź zaraz się uczyć.

— Idę, proszę pani odpowiedział Pawełek, zbierając swe książki.

Ale było ich tyle, że jakkolwiek przytrzymywał je brodą od wierzchu, od spodu zaś silnie podtrzymywał ręką — zanim do drzwi doszedł te co były w środku wysunęły się, i wszystkie rozsypały się z hałasem po posadzce.

— Jakżeś nieuważny Dombeyu, zawołała Kornelja.

Ułożyła mu sama książki na ręku bardzo starannie. Pawełek wyszedł i tą razą udało mu się nie zgubić po drodze więcéj jak parę tomów, po które wrócił zaraz śpiesznie. Potem, zabrał się zaraz do pracy i nie przerwał jéj aż do śniadania. Widząc go tak zajętym, Trotzer przypomniał mu wczorajszą swą przepowiednię. Przy herbacie, Pawełek nie czuł wcale apetytu i wyglądał bardzo osowiały, gdy wstano od stołu, Kornelja zawołała go zaraz do swego pokoju i zapytała czego się nauczył ze swych książek.

Było w tych książkach wszystkiego potrosze, ale najwięcéj łaciny; także dużo konjugacji, zadań, nazwisk rozmaitych; początki pisowni i arytmetyki, krótki zarys dziejów starożytnych i nowożytnych, porównanie miar i wag we wszystkich krajach; — słowem kurs ogólny wszystkich nauk w streszczeniu. Gdy biedny Pawełek doszedł do numeru drugiego pokazało się, że już nic nie wiedział z tego co było w pierwszym; trzeci zaplątał mu się z czwartym i ani podobna je było rozwikłać. I tak np. Romulus zdawał mu się mieć wartość tysiąca Romusów; hic, hec, hoc, przedstawiały w jego pojęciu różne stopnie cieżarów, a nazwiska znaków Zodyaku mięszały się w najopłakańszy sposób z imionami rozmaitych ludzi znakomitych.

Jednem słowem, nieszczęśliwy Pawełek znajdował się pośród owych skarbów wiedzy, jakby zabłąkany wśród gąszczy niepodobnych do przybycia. Wysłuchawszy go, panna Blimber, zawołała ze zgrozą.

— Ależ to rzecz okropna! Nie ma żadnego sensu w tem co mówisz.

— Żeby pani była łaskawa pozwolić mi porozmawiać czasem z moim starym Glubbem, rzekł nieśmiało Pawełek, to on by mi nie jedno wytłomaczył i z pewnością nauki łatwiéj by mi poszły.

— Pleciesz sam nie wiesz co, odparła niecierpliwie Kornelja. Ani chcę o tem słyszeć, nie tu miejsce dla takiego gbura. Potrzeba ci po prostu wytrwale pracować i nie przechodzić do przedmiotu *B* dopóki się dokładnie przedmiotu *A* nie nauczysz. Teraz weź z sobą pierwszy tom z wierzchu, i nie wracaj mi aż będziesz doskonale umiał twą lekcję.

Kornelja była w głębi ducha uradowana stanem pierwotnym umysłu Pawełka.Prawdopodobnie spodziewała się znaleść go takim i dla tego podjęła się z chęcią jak najczęstszych z nim lekcji, ciesząc się zawczasu nadzieją urobienia go całkiem według własnych pojęć. Biedny chłopak zabrał się z odwagą do wskazanéj mu książki, ale mu nauka szła jakoś bardzo oporem; kiedy już wszystkie prawie słowa umiał na pamięć, nagle mu one gdzieś znowu pierzchały i niepodobna je było pochwycić; wreszcie po długim trudzie całkiem już pewien swego, odważył się pójść do swéj nauczycielki dla wydania lekcji. Ale gdy Kornelja, zamykając podaną jéj książkę, rzekła do niego: zaczynaj! — ogrom nauki wyrażony tym giestem wspaniałym przeraził do tego stopnia Pawełka, że o mało znowu nie zapomniał całéj lekcji.

Tą razą, udało mu się wszelako wydać ją bardzo dobrze i ku zupełnemu zadowoleniu panny Blimber, od któréj otrzymał niezwłocznie literę *B* z zapowiednią bliskiego przejścia do następnych. Było to dla Pawełka rzeczą bardzo przykrą wracać do nauki zaraz po obiedzie; czuł się wtedy ociężałym i całkiem niezdolnym do pracy, ale tego samego doświadczali jego towarzysze, a jednak nie otrzymywali żadnéj ulgi w tym względzie.

Po herbacie, uczniowie wykończali jeszcze lekcje na dzień następny; potem nadchodziła godzina spoczynku, który gdyby nie przykre sny przerywające jego rozkosze, mógł się prawdziwie nazywać jedyną chwilą wytchnienia w zakładzie Blimbera, gdyż przynosił zapomnienie wszystkich udręczeń w ciągu dnia doznanych.

Sobota! jakże wyczekiwanym był ów dzień dla Pawełka! Po południu, jakabądź była pogoda, zawsze przychodziła Florcia bo mało dbała o gderanie pani Pipchin, usiłującéj nieraz w domu ją zatrzymać. Owe soboty stanowiły dla obojga dzieci ukochaną od nich uroczystość, podczas któréj nabierały sił na cały tydzień, umacniając się coraz bardziéj we wzajemnem przywiązaniu.

Posępne wieczory niedzielne, których mrok zaciemniała bardziéj jeszcze myśl o jutrzence dnia następnego, szły całkiem w zapomnienie dopóki trwała sobota. Wtedy zawsze było dzieciom pogodnie i słoneczno, czy to przechadzały się razem po wybrzeżu, czy też rozmawiały po cichu w pokoiku od tyłu u pani Pipchin, gdzie Florcia zabierała zawsze brata z sobą. Z jakąż rozkoszą słuchał jéj opowiadań, oparłszy głowę na jéj ramieniu! Co mówiła? sam nieraz nie wiedział; zasłuchany w dźwiękach jéj głosu, innéj nie miał myśli jak tę, że był przy niéj. W niedzielę wieczorem, kiedy drzwi domu Blimbera, roztwierały się jak paszcza by znowu pochłonąć swą ofiarę na cały tydzień, Pawełek smutno żegnał Florcię i wchodził do swego więzienia myśląc o niéj — i tylko o niéj jednéj.

W miejscu pani Wickam którą odesłano do Londynu, Zuzia Nipper bawiła teraz przy Florci. Była to obecnie młoda kobieta całkiem już rozwinięta i wcale przystojna. Nie potrzebujemy dodawać, że przebyła w sposób całkiem zwycięzki nie jedno spotkanie z panią Pipchin, i że jeśli kiedy ta ostatnia znalazła godnego siebie zapaśnika, była nim bez wątpienia czarnooka pokojówka. Od pierwszego poznania z czarownicą, Zuzia dobyła miecz śmiało i pochwę daleko od siebie rzuciła. Nie żądała pardonu, ale go też nie udzielała. Oświadczywszy bez ogródek, że przyjmuje walkę ze wszelkiemi jéj następstwy, przemieniła istotnie życie pani Pipchin w stan nieprzerwanéj wojny, pełnéj zasadzek i niespodzianek, któremi zeskoczona na każdym kroku i w każdéj chwili nieszczęsna wdowa, nie mogła już nigdy spożyć bezpiecznie swych kotletów i grzanek, ani wyjść bez obawy ze swego pokoju.

Pewnéj niedzieli, Florcia wróciwszy do domu z Zuzią po odprowadzeniu Pawełka, wydostała z zanadrza kawałek papieru na którym było coś napisane ołówkiem.

— Patrz no Zuziu, oto nazwiska tych wszystkich książeczek, które tu zawsze przynosi z sobą Pawełek. Z nich to on robi owe opracowania nad któremi się tak męczy. Przepisałem sobie wczoraj ich tytuły.

— Ach dajże mi panna z niemi pokój, zawołała. Czytać to, wychodzi na jedno co patrzeć na twarz pani Pipchin.

— Musisz jednak Zuziu pokupować mi te wszystkie książki i to zaraz jutro. Mam na to pieniądze.

— A to na co? Boże wielki! czyż nie ma panna i tak dosyć książek z których się można nauczyć wszystkiego, co kiedykolwiek było na świecie? Wszakże są tego całe stosy, choć co prawda, sądzę panno Floro że gdyś sama o to ojca nie prosiła, aniby mu do głowy przyszło kazać cię uczyć czegokolwiek. A przecie, zgodzić się na coś, a samemu o tem pomyśleć, to nie jedno i to samo.

— Moja Zuziu, ty mi kupisz te książki, powiadam ci że mi one są bardzo potrzebne.

— Jestem ciekawa do czego? Gdyby można dać niemi w łeb pani Pipchin, tobym z chęcią całą furę zakupiła.

— Jak będą miała te książki, rzekła Florcia, to zdaje mi się że potrafię pomagać Pawełkowi w przygotowaniu się na następny tydzień, a tym sposobem

lżéj mu trochę będzie. W każdym razie, chcę tego sprobować. Kup mi tę książki, moja Zuziu, zrób to dla mnie, a nigdy ci tego nie zapomnę.

Potrzeba było mieć chyba kamienne serce, aby módz się oprzeć błagalnemu wejrzeniu, towarzyszącemu prośbie Florci. Zuzia wzięła sukienkę i nie probując dalszego oporu, zaraz od rana wybrała się na miasto. Nie łatwo jéj wszelako przyszło dostać żądanych książek. W jednym sklepie, odpowiedziano jéj że się już rozprzedały, w drugim że mają dopiero nadejść, w innych znowu, nietrzymano takich wcale. Ale Zuzia nie dawała w niczem łatwo za wygraną, wyszukawszy tedy jakiegoś swego dawnego znajomego, będącego subjektem w księgarni, tyle się z nim nakrzątała po mieście, że wreszcie wyszukała wszystkiego czego potrzebowała.

Raz w posiadaniu owych tyle upragnionych skarbów, Florcia zapuściła się w ciernisté drożyny wiedzy, idąc niemi w ślad za Pawełkiem. Co wieczór załatwiwszy się z własnemi lekcjami, czuwała do późna, usiłując dopędzić, a potem już wyprzedzić brata, co przy wrodzonéj bystrości umysłu z niewielką przyszło jéj trudnością.

Kiedy wszyscy oddawna już spoczywali w mieszkaniu pani Pipchin, jedno tylko światełko długo w niem jeszcze co noc błyszczało. Drzemiąca przy wygasłym kominku Zuzia, niedoczekała się czasem aż do świtu chwili rozebrania swéj pani, zapominającéj o wypoczynku nad pracą, która z niéj miała uczynić podporę i pocieszycielkę ukochanego brata.

Jakże słodką była jéj nagroda, kiedy pewnego wieczoru, widząc Pawełka przygotowującego się swym zwyczajem do lekcji, mogła mu uczynić łatwem i zrozumiałem to, co dotąd zdawało mu się tak trudnem do pojęcia! Jakże silnie uderzyło jéj serce gdy ujrzała twarz brata zaczerwienioną od radości, promieniejącéj w jego oczach! Starszy we wszystkiem nad lata swoje, Pawełek nie wyrzekł ani słowa, tylko objąwszy Florcię za szyję, serdecznie ją ucałował. Po chwili dopiero odpowiedział:

— Florciu, ja cię bardzo kocham.

— A ja, czy mniéj ciebie? spytała.

— O, nie mniéj, wiem to dobrze, odpowiedział.

I nic już więcéj nie dodał, ale przez resztę wieczora nie bawił się niczem, tylko siedział obok siostry, a w nocy wstawał kilka razy z łóżeczka i schodził do jéj pokoju, żeby jéj powiedzieć że ją bardzo kocha.

Odtąd, każdéj soboty Florcia zasiadała wieczorem z bratem i dopomagała mu cierpliwie w przygotowaniu się do nauk następnego tygodnia, o ile treść ich przewidzieć się dała. Sama myśl że siostra już pracowała nad tem, nad czem on pracował, stanowiło dla Pawełka pewną ulgę i zachętę, — cemże była dopiero jéj pomoc w rozjaśnianiu nagromadzonych z upodobaniem około niego ciemności, niespracowaną ręką uczonéj Kornelii! Wyraźnie, jednéj tylko Florci zawdzięczał Pawełek że nie upadł ostatecznie pod brzemieniem, którem mądra córka doktora obciążyła jego słabe barki.

Nie należy jednak sądzić, ażeby panna Blimber czyniła z umysłu to brzemię tak nieznośnem. Wychowana w podobny sposób, wierzyła w zalety systematu, który się dla niéj okazał obfitym w zbawienne owoce, co zaś do doktora, ten w coraz większem zawikłaniu swych myśli doszedł był do przekonania, że dzieci rodziły się dorosłemi i gotowemi doktorami wszelkich nauk. Do utwierdzenia go w tych pojęciach, przyczyniały się też nie mało pochwały, które odbierał od rodziców swych uczniów, oraz próżność ich i pośpiech wymagający jak największych rezultatów w jak najkrótszym przeciągu czasu. Przy podobnych warunkach, możnaż było żądać aby człowiek ów rozpoznał kiedy błąd swój i zmienił ster okrętu, któremu wiatr tak sprzyjał?

I tak naprzykład, im bardziéj Blimber zapewniał że Pawełek był dzieckiem wielce obiecującem i że czynił w naukach znaczne postępy, tem usilniéj Dombey nalegał aby przyspieszano jeszcze rozwój jego zdolności. Jeżeli zaś doktór wyznawał przed rodzicami Briggsa iż tenże był tępy do nauk i mało w nich się posuwał, bynajmniéj oni tych warunków nie chcieli uwzględniać. Słowem, jak bądź wysoką i sztuczną była temperatura cieplarni Blimbera, właściciele roślin w niéj chodowanych, zawsze byli radzi podsycać jeszcze ogień, który ją ogrzewał.

Łatwo się domyśleć że w domu tym Pawełek zatracił wszelkie zewnętrzne oznaki wesołości i ożywienia; w zamian zachował to co miał w sobie dziwacznego i nie dziecięcego, a nawet wśród otoczenia tak sprzyjającego rozwojowi podobnych popędów stał się coraz bardziéj dziwacznym; starym i w sobie zamkniętym.

To ostatnie usposobienie stało się z czasem główną cechą jego charakteru. Z dniem każdym stawał się mniéj mówiącym i bardziéj zamyślonym; rodzina doktora nie budziła w nim tego zaciekawienia z jakiem niegdyś studjował panią Pipchin. Lubił sam być i w krótkich chwilach które miał wolne od nauk, błąkał się samotny po domu, lub też zasiadał na schodach i słuchał zadumany głosu wielkiego ściennego zegara. Znał na pamięć obicia wszystkich pokojów, dopatrywał w nich to czego nikt niewidział; dostrzegał maleńkie lwy i tygrysy biegające po ścianach sypialni i zewnątrz oczy przyglądające mu się z pośród kwiatów dywana.

Milczące owo dziecię, oplecione w ten sposób arabeskami kreślonemi własną jego fantazją, żyło samotne w domu doktora i niezrozumiane tam od nikogo. Pani Blimber znajdowała Pawełka „bardzo cudacznym“ słudzy mówili pomiędzy sobą, że ten chłopczyk żyje jakby we śnie, i na tem się wszystko kończyło.

Toots miał może w tym względzie swoje pojęcia, ale pojęcia nie wyrażają się same, a wiemy że Toots nie dostał był w udziale daru wymowy. Bądź co bądź, po przez mgłę wiecznie zaciemniającą jego mózgownicę, poczciwy ów chłopak widział nieustannie drobną i wątłą postać zawsze samotną, i nie mógł myśli od niéj oderwać.

— Jak się masz dzisiaj? pytał Pawełka po kilka razy na dzień.

— Dziękuję panu, bardzo dobrze; odpowiadał mały Dombey.

— Podaj mi rękę, mówił Toots, — a gdy to życzenie, zostało spełnionem, Toots wciągał mocno powietrze w płuca parę razy, patrząc ciągle na Pawełka, a potem jeśli mu czasu starczyło, ponawiał swe zapytanie.

Pewnego wieczoru, podczas gdy Toots pochylony nad pulpitem, oddawał się gorliwie swym listowym ćwiczeniom, wielka myśl wytrysła z jego głowy. Odłożył na bok pióro i poszedł wyszukać Pawełka, którego wreszcie znalazł wyglądającego oknem w sypialnym pokoju.

— Słuchaj no Dombeyu, zawołał już od progu, bojąc się zapomnieć co ma powiedzieć, o czem też ty zawsze myślisz?

— O bardzo wielu rzeczach, odpowiedział Pawełek.

— No proszę! — czy doprawdy? spytał Toots wielce zdumiony tą odpowiedzią.

— Oto, gdybyś naprzykład miał umrzeć... rzekł mały Dombey zwracając się ku niemu i patrząc mu w oczy.

Toots zmięszał się mocno tem niespodziewanem przypuszczeniem.

— To czyż nie wolałbyś umrzeć, ciągnął daléj Pawełek, w noc pogodną, kiedy księżyc tak pięknie świeci, a wiatr szumi w powietrzu jak morska woda w muszli, w taką noc naprzykład jaką była ta ostatnia?..

Toots popatrzał na Pawełka kiwając głową, potem powiedział, że sam nie wie coby wybrał w podobnym razie.

— Jakaż to śliczna noc była! rzekł znowu Pawełek. Obudziłem się i długo słuchałem głosu bałwanów, a potem wstałem i patrzałem przez okno na morze. Tam, daleko na niem, widać było łódkę, a żagiel jéj był jakby srebrny od światła księżyca...

Mówiąc to, Pawełek był tak ożywiony i tak wprost patrzał w oczy Tootsowi, iż tenże sądząc że mu wypada coś powiedzieć o owéj łódce, rzekł;

— Zapewne byli tu przemytnicy.

Ale przypomniawszy sobie naraz ze zwykłą bezstronnością że każda kwestja ma dwie strony, dodał:

— Albo może celnicy.

— Żagiel ten, ciągnął daléj Pawełek, wyglądał zupełnie jakby srebrna ręka. Łódka odpływała coraz daléj, aż wreszcie znikła całkiem. A wiesz co mi się zdawało, że ona robiła odchodząc sobie razem z falą?

— Zatapiała się w niéj, rzekł Toots.

— Ale gdzie tam! Zdawała się wołać mię za sobą. Ach! ale otóż i ona! zawołał w tem radośnie Pawełek.

Toots, przerażony do najwyższego stopnia tym wykrzyknikiem, który sądził być w związku z poprzedniem opowiadaniem, zawołał:

— Ona! kto — ona?

— Florcia, moja siostra; ona mnie widzi — daje mi znak ręką. Dobry wieczór Florciu, dobry wieczór wołał, klaskając w ręce.

Szybkie to przejście Pawełka do niezmiernéj radości, a potem stopniowe zagasanie owego promienia szczęścia na jego twarzy w miarę jak się siostra oddalała i znikała, musiało zwrócić uwagę każdego, a nawet i tak mało bystrego spostrzegacza jakim był Toots. Ale w tem pojawiła się znagła w pokoju pani Pipchin, przychodząca niekiedy o téj porze w odwiedziny do dawnego swego ucznia. Skutkiem tego zdarzenia, Toots nie mógł skorzystać ze sposobności przedłużenia z nim rozmowy. To co jednak usłyszał od Pawełka, wystarczyło na wywołanie tak silnego w nim wrażenia, że ukłoniwszy się pani, Pipchin, powracał aż dwa razy pytać o jéj zdrowie, co wydało się téj pani być obelgą zawczasu obmyślaną i prawdopodobnie przygotowaną w zmowie ze służącym chorym na oczy, w którym nie przestawała widzieć uosobienia złośliwości. Poskarżyła się zatem na niego tegoż samego wieczora doktorowi, który zapowiedział biednemu chłopakowi iż na ten raz tylko mu przebacza, a za pierwszem podobnem przewinieniem z domu swego go wypędzi.

Gdy się ta sprawa wytaczała przed sąd doktora, w odległym pokoju jego pomieszkania wątłe i posępne dziecię dumało patrząc płonącym wzrokiem na fale i w obłoki, goniąc oczami przez szyby swéj klatki, ptaki przelatujące w powietrzu i wdrapując się nieraz na okno by je dłużéj widzieć, nie mogąc z niemi polecieć i bujać z niemi po niebie....

Ale wielce mądry i przenikliwy doktór Blimber nic o tem wszystkiem nie wiedział.

Co wieczór, Florcia przechodziła parę razy dokoła domu doktora, a Pawełek wyczekiwał zawsze w okuie téj chwili, rozjaśniającéj dla nich obojga bło-

gim promieniem nocną pomrokę. Bywało często że ktoś inny błąkał się także samotny w pobliżu o téj samej godzinie, ale rzadko zbliżał się do dzieci ów człowiek ponuro zadumany. Był to Dombey. Coraz mocniéj rozżalony wyłącznem przywiązaniem Pawełka do siostry, wolał patrzeć z daleka w okna pokoju, gdzie syn jego kształcił się na człowieka i snuć w myśli świetny wątek jego przyszłości, niźli go oglądać takim jakim był obecnie.

XIII.

O różnych sprawach morskich i handlowych.

Biuro kantoru Dombeya znajdowało się w dziedzińcu, w rogu którego był stragan z owocami. Stawali tam w południowych godzinach rozmaici wędrowni handlarze, sprzedający portmonetki, gąbki, obróże i mydełka, a czasem też wyżły i obrazy olejne. Przekupnie owi częstowali każdego swoim towarem, ale gdy się w dziedzińcu ukazywał Dombey, cofali się przed nim z uszanowaniem. Nawet najbogatszy z nich, mający się za kupca całą gębą i handlujący wyłącznie portmonetkami i obróżami, uchylał kapelusza na widok owego mocarza. Woźny jeśli nie był gdzie na mieście, biegł otworzyć drzwi przed nim na rozcież, zdejmując czapkę z wszelką czcią możliwą.

Też same oznaki poważania napotykał Dombey i w kantorze. Za jego nadejściem nastawała w salach cisza głęboka, wydział kassy i wydział korrespondencji walczyły z sobą o lepsze w poważnem zachowaniu się. Smutny był co prawda widok owych sal ogromnych, zapełnionych ludźmi pracującemi bez przestanku, światło dzienne przeciskało się z taką trudnością przez szyby przysypane pyłem węglowym, że wśród dnia nawet, ściany, papiery i pracownicy wydawali się okłębieni poważną jakąś pomroką i tak odosobnieni od reszty świata, jak gdyby się na dnie morza znajdowali. W dopełnieniu tego porównania, lampka zawsze świecąca, w dalekich głębiach ostatniéj sali, wyobrażała niby czerwone oko morskiego jakiegoś potworu, przyglądającego się z wnętrza swéj pieczary, owym milczącym mieszkańcom otchłani.

Kiedy Perch, woźny kantoru siadający zwykle w dziedzińcu na słupku, gdzie wyglądał jak zegar na postumencie, spostrzegł a raczéj przeczuwał nadchodzącego Dombeya, biegł co tchu do jego gabinetu, poprawiał ogień, dorzucał węgla na kominek, przyrządzał gazety, ustawiał krzesła, — a za wejściem bankiera, zdejmował śpiesznie z niego okrycie i podsuwał mu fotel z wielkiem uszanowaniem. Dopełniwszy tego wszystkiego i podawszy Dombeyowi gazety, woźny wychodził na palcach i zamykał drzwi jak najciszéj, tak zadowolony i dumny z obowiązków jakie mu przypadły w udziale, jak gdyby mu danem było usługiwać co najmniéj tureckiemu padyszachowi we własnéj osobie.

Dombey zaś pozostawał milczący i nieruchomy w swem wielkiem krześle, błądząc wzrokiem po szczytach kominków i po tyłach domów, które widać było z jego okna i zatrzymując niekiedy oczy z machinalnem zdziwieniem na wystawie jakiegoś fryzjera, gdzie stojąca lalka bywała nieodmiennie całkiem łysą do południa, potem zaś porastała bujnym włosem i faworytami według najświeższéj mody.

Pomiędzy gabinetem Dombeya a zwykłemi śmiertelnikami, zapełniającemi biuro kantoru, pośredniczyli w stosunkach dwaj naczelnicy wydziałów, dostępujący zaszczytu zbliżania się bezpośrednio do osoby swojego pana. Każdy z nich pracował w pokoiku, wychodzącym na kurytarz przyległy do jego gabinetu. Carker, jako najwyższy w znaczeniu, przebywał najbliżéj przybytku swego pryncypała, Morfin, nieco mniéj wysoko położony w urzędzie bardziéj był do biór zbliżony.

Ten ostatni był to stary kawaler z twarzą wesołą i piwnemi oczami trochę już zamglonemi od pracy, ubierający się zwykle bardzo poważnie, czarno od góry, od dołu zaś szaraczkowo. Czarne jego włosy już siwiały miejscami, tak jak gdyby w przelocie czas obryzgał je był szronem, faworyty zaś miał całkiem białe. Morfin żywił cześć głęboką dla Dombeya i w zachowaniu swem to okazywał; wszelako, będąc wesołego usposobienia, czuł się zawsze jakoś nie swój, w uroczystéj obecności swego pryncypała. Widział zatem bez najmniejszéj zazdrości częste narady jakie z nim miewał Carker, a nawet cieszył się poniekąd tem, iż obowiązki jego nader rzadko go obdarzały podobnym zaszczytem. W chwilach wolnych od pracy, Morfin oddawał się z zamiłowaniem muzyce; pojmując ją wszakże po swojemu; kochał prawdziwie ojcowskiem uczuciem swoją wiolonczellę, którą w piątek przewoził do swojego klubu, położonego w sąsiedztwie banku, dla brania udziału w amatorskich kwartetach wielce udręczającego rodzaju.

Carker był człowiekiem w średnim już wieku, posiadającym cerę kwitnącą zdrowiem i nieposzlakowanéj białości zęby w całym komplecie. Téj ostatniéj zalety niepodobna w nim było nie zauważyć, bowiem mówiąc pokazywał je wszystkie, tem bardziéj zaś kiedy się uśmiechał. Uśmiech ów nadawał coś kociego jego fizjonomii. Carker nosił zwykle biały krawat, naśladując w tem swego pryncypała, i frak miewał, jak on, zapięty szczelnie na wszystkie guziki. W zachowaniu się jego z Dombeyem przebijał głęboki rozmysł w którego wykonaniu nic nie pozostało do życzenia. Była to niby swobodna poufałość, nie wykluczająca poczucia przestrzeni, jaka go dzieliła od owego mocarza, a wszelako dająca się czuć nawet w jego wyrażeniu. Gdy był z Dombeyem, rzekłbyś iż na twarzy nosił wypisane następne wyrazy: Pomiędzy ludźmi tak różnego jak my dwaj stanowiska, etykietalne formy nie tylko są zbyteczne, ale nawet przynoszą szkodę w stosunkach tyczących się interesów; dla tego racz mi pan darować jeśli raz na zawsze na bok je odkładam.

Takim był Carker piastujący godność naczelnika wydziału, zwany w biórze starszym Carkerem, dla odróżnienia go od brata, liczącego wprawdzie lat kilka więcéj wieku, ale zajmującego o wiele niższe w kantorze stanowisko. Ten ostatni, wielki przyjaciel Waltera, człowiek cichy i pracowity, przebył długie lata w kantorze Dombeya, nie zdoławszy się dobić lepszego w nim stanowiska. Młodsi wyprzedzali go nieustannie, on zawsze w miejscu pozostawał, aż wreszcie tak się z tem oswoił, że już nawet utracił nadzieję doczekania jakiejkolwiek zmiany na swą korzyść.

— Dzień dobry panu. Jakże dzisiaj zdrowie? rzekł Carker starszy, wchodząc z papierami do gabinetu Dombeya, zaraz po jego przybyciu.

— A ty jak się miewasz, Carkerze? spytał Dombey podnosząc się z krzesła i stając przed kominkiem. Czy masz tam co dla mnie?

— Nie sądzę abym potrzebował dziś pana trudzić, odpowiedział Carker, przeglądając przyniesione papiery; — zresztą, wszakże masz pan sessją o trzeciéj?

— A drugą o trzy kwadranse na czwartą, dodał Dombey.

— Że też niepodobna, abyś pan o czemkolwiek zapomniał! zawołał Carker ciągle niby zajęty przepatrywaniem papierów. Jeśli pan Paweł weźmie w spadku pańską pamięć, będzie mu to samo już nie małem bogactwem.

— Masz i ty także wyborną pamięć, odrzekł Dombey.

— No, że ja ją mam, to i cóż w tem dziwnego? dla mnie ona stanowi jedyny kapitał.

Dombey wyglądający w téj chwili bardzo uroczyście, zmierzył wzrokiem swego podwładnego, który nie zdawał się wcale tego uważać. Butna postawa Carkera i napuszystość którą zapewne naśladował ze swego pryncypała, dodawały niemało ceny pokorze słów jego. Wyglądał z tem na człowieka, który usiłował opierać się potędze ciężącéj nad nim, ale wreszcie uległ nieprzepartéj sile jéj wyższości.

— Czy jest tu Morfin? spytał po chwili Dombey, zagłębionego znowu w papierach Carkera.

— Jest, wyśpiewuje sobie jakieś urywki z wczorajszego kwartetu. Słyszę go zawsze przez cienką ścianę która nas dzieli; z chęcią pościłbym trzy dni żeby mu raz kto skradł jego wiolonczelę wraz ze wszystkiemi nutami.

— Ty nie szanujesz nikogo, Carkerze, rzekł Dombey.

— Nikogo? powtórzył naczelnik wydziału, uśmiechając się swym kocim uśmiechem, który odsłonił wszystkie jego zęby. Nie powiem żebym nie szanował nikogo, ale co prawda, bardzo małą ilość osób szczerze poważam. A nawet, dodał ciszéj, jakby mówiąc do siebie, być może iż ta ilość na jednéj się ogranicza.

Podobne usposobienie czy udane, czy prawdziwe czyniło Carkera równie godnym poważania. Wszelako, zdanie Dombeya było w tym względzie całkiem przeciwne, świadczyło o tem wspaniałe łaskawe wejrzenie, jakiem obdarzył swego podwładnego usłyszawszy ostatnie wyrazy.

— Skoro mówimy o Morfinie, rzekł po chwili Carker, wydobywając arkusz jakiś z pomiędzy papierów przed nim leżących, oto donosi nam on, że młody komissant zmarł w kantorze naszym w Barbadach, a zarazem zapytuje czy wyślemy kogo aby go zastąpić na odpływającym wkrótce naszym okręcie *Syn i Spadkobierca*. Mało na tem zależy kogo się tam wyprawi i czy się to zaraz uczyni; zresztą zdaje mi się że nie mamy tu nikogo coby się przydał na tę posadę.

Dombey okazał postawą bardzo wspaniałą obojętność w sprawie tak małéj wagi.

— Nie jest to miejsce bardzo korzystne, ciągnął daléj Carker, mówiąc i pisząc jednocześnie. Sądzę że będzie nią mógł obdarzyć Morfin, kogo ze swoich krewnych lub z muzykalnych swoich przyjaciół. Może się przerwą nareszcie tym sposobem owe utrapione jego kwartety. Ale któż tam stuka do drzwi? Proszę wejść.

— Przepraszam, rzekł ukazując się na progu Walter, z jakiemiś papierami w ręku, ale pan Carker młodszy....

Słysząc to nazwisko, Carker starszy okazał wielkie zmięszanie, a nawet upokorzenie. Rzucił ku Dombeyowi spojrzenie zakłopotane, jakby go chciał przeprosić za wyrzeczone przez Waltera słowa, potem spuścił oczy ku ziemi i milczał przez chwilę. Wreszcie, zwracając się ku nowo przybyłemu, rzekł z nieukontentowaniem:

— Zdaje mi się, że miałeś już to pan sobie zalecone, abyś nie mieszał nazwiska pana Carkera młodszego do swych rozmów...

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 50.

N. 15 i 16. Koszyczek do kłębka z tektury. Krój w dodatku N. XII Fig. 35—37. N. 15. Przedstawia wnętrze koszyczka zrobionego z cienkiéj tektury koloru jasno o-



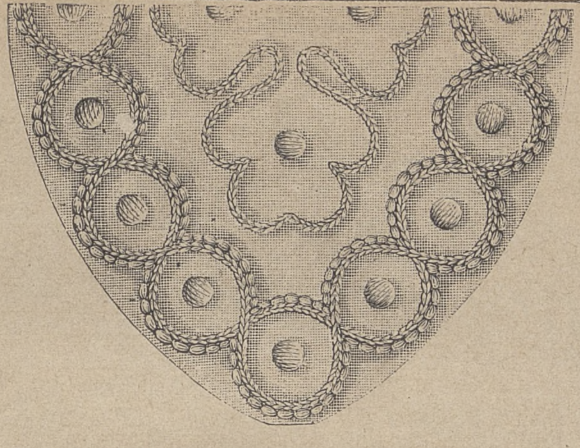
N. 1. Szmizetowy kołnierz z koronki irlandzkiéj.

rzechowego. Dno stanowi gwiazda o 5 promieniach, któréj połowa podana na figurze 35; te 5 promieni załamuje się do góry i łączy z dolną częścią ścian bocznych, które stanowi 5 pięciokątów w górze, tyluż trójkątami połączonych. Każda oddzielna część przyozdabia się wyszyciem na wzorze wskazanym; długie ściegi daje się jedwabiem jasno szafirowym, a wszystkie punkciki perełkami czarnemi. Brzegi odziergać jedwabiem szafirowym, a lewą stronę kwaterek wykleić bibułką szafirową, potem wszystkie części połączyć krytym ściegiem za dzierganie i od środka u góry koszyczka dodać riuszę z bibułki szafirowéj, wycinaną w ząbki.

N. 17. Koszyczek płaski do špilek lub pieczątek gumowych Fig. 38. Czwarta część dna i boków. Fig. 39. Część łącząca boki. Krój w dodatku N. XIII Fig. 38 i 39.

Koszyczek z cienkiéj kolorowéj tektury, odrobiony sposobem przy poprzedzających numerach opisanym, wykleja się wewnątrz fotografjami lub malowidłami, których dostanie w składach rycin, w rozmaitéj wielkości. Stosownie do fotografji lub medaljonów wymierza się wielkość koszyczka. Po naklejeniu dodaje się pendzelkiem ramy do fotografji na naszym wzorze pier-

ostatni czarnym tuszem zrobiony. Na dnie koszyczka można odmalować herb lub tarczę z literą nazwiska.



N. 6. Deseń do pelerynki i tuniki muślinowéj. Zob. ryc. 5.



N. 2. Pelerynka ź czarn égo tiulu koronkowego. Krój N. V Fig .18.

N. 18—21. Kubek do fidybusów. Okrągłe tekturowe denko mające 9 cen: średnicy, służy za główną podstawę do kubka; od tego denka odkrajane koło 1 cen. szerokie, stanowi brzeg górny, w którym w równych, cyrklem wymierzonych odstępach, przewierca się środkiem 17 dziurek do wsadzenia patyczków. Takąż samą liczbę dziurek daje slę w denku dolnem na pół



N. 3. Stanik z karoczkiem, bawetem i wycięciem podłużnem Zobacz rycinę 39 w N. 50 Tyg: M: Krój i opis w dodatku N. 1 Fig. 1 — 9.

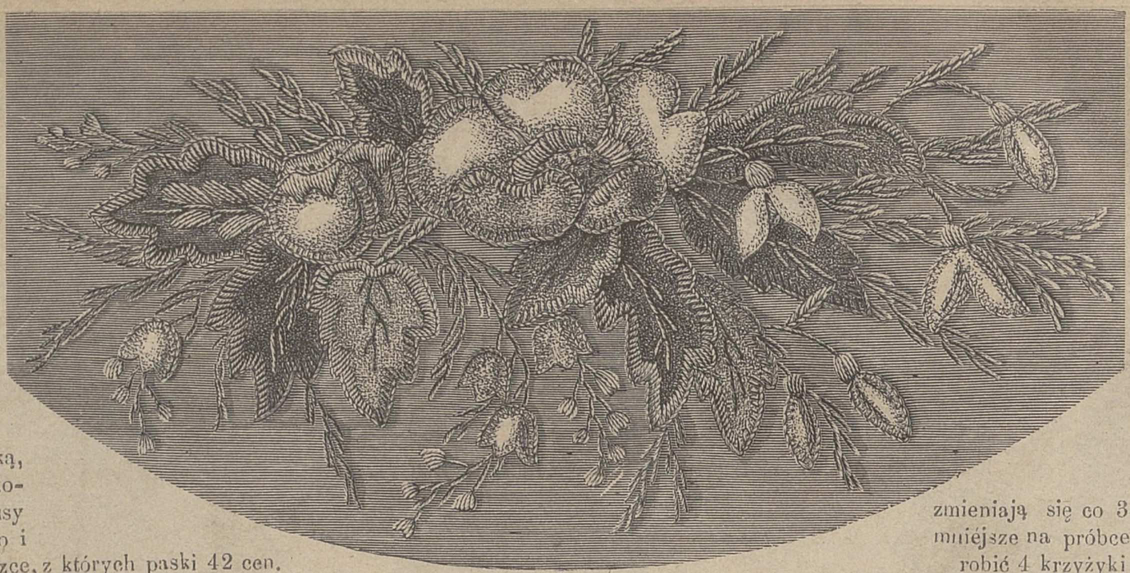


N. 4. Pelerynka i tunika z grenadiny lub krepy jedwabnéj z koronką. Zobacz ryc. 38 w N. 50 Tygod. Mód.



N. 5. Pelerynka i tunika muślinowa z haftem.

c. odległości od brzega, tak to ostatnie jak i górne koło poprzednio okleja się czarnym glansownym papierem. Wielkość dziurek zastosowana być powinna do grubości patyczków, 11 cen. długich, których dostać można gotowych w fabryce zapałek. Patyczki powinny być gestą gumą przyklejone i wystawać równo od góry i od dołu kubka w poprzek, przeplata je się wązką kolorową wstążeczką, którą także górne tekturowe koło jest okręcone. Fidybusy robią się z papieru białego i koloru odpowiedniego wtążeczce, z których paski 42 cen. długie, a 2 cen. szerokie załamują się, nacinają z brzegu podług N. 19, 20 i 21 zwijają, zostawiając na 2 cen. długości brzeg górny wycięty jak chorągiewkę.

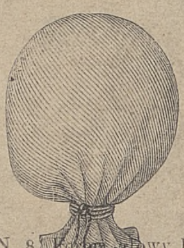

N. 7. Bukiet na lambrekinę do poduszki na okno. Aplikacja i haft wypukły „en relief." Zobacz lambrekinę w N. 48. Tyg. Mód ryc. 18.

biurka, na worki do nóg i t. p. ścieg znany być musi naszym czytelniczkom, albowiem już od lat kilku jest używany i nawet zaczętych robót dostać można u p. Zanders przy rogu ulicy Miodowéj i Senatorskiéj.

Ryc. 27 wskazuje dobór i układ kolorów, ryc. 26 przedstawia zrozumiałą i wyraźną próbę roboty. Pierwszy podkład jak widzimy stanowią tu zwykłe krzyżyki, które robią się pasami, przedzielonemi od siebie pięciu nitkami kanwy. Pasy te mają zawsze 4 krzyżyki (8 nitek) wysokości na szersz, zaś kolory zmieniają się co 3, 6 i 9 krzyżyków, to jest że na najmniéjsze na próbce N. 27, widoczne kwadraciki, trzeba robić 4 krzyżyki na wysokość, a 3 na szerokość oznaczonym kolorem; na średnie 4 na wysokość, a 6 krzyżyków na szerokość, na największe 4 i 9 krzyżyków.


N. 12. Głowa lalki z włosami z rozczesanego lnu. Zobacz ryc. 13.


N. 14. Głowa lalki z włosami z rozczesanego lnu.

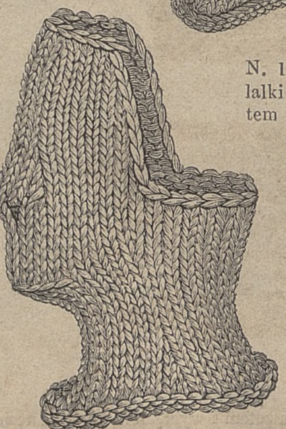

N. 8. Forma głowy lalki watą wypchanéj


N. 11. Główa arlekina z włosami z peutelek włóczkowych.




N. 13. Głowa lalki z włosami z rozczesanego lnu.

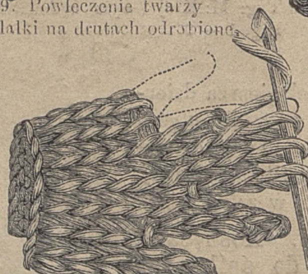
N. 22. Postument do piór i ołówków. Cienkie pręciki połączone ziarnkami grochu. Drobnostka ta zarówno jak roboty z tektury, odrobiona przez małe panienki służyć może jako upominek na kolendę. Wprawdzie nie odznacza się trwałością, ale odrobiona starannie ładnie wygląda, a jako własna praca mile będzie przyjęta. Postument ten składa się z cienkich okrągłych pręcików, których śpiczasto zakończone brzegi, macza się w gęstéj gumie i wkłada w ziarnka dużego rozmoczonego grochu. Najdłuższe pręciki postumentu mają 11 cent. krótsze służące do połączenia 9 i 6 cent. najkrótsze do opierania piór 2 cent. długości. Wygięta poprzeczna poręcz jest z drutu 17 cent. długiego. Po wykończeniu cały przyrząd pozłaca się złotem malarskiem, sprzedawanem na muszelkach w składach materjałów piśmiennych.


N. 9. Powleczenie twarzy dla lalki na drutach odrobione.

N. 10. Głowa lalki z naszytem powleczeniem


N. 15. Ręka lalki szydełkową robotą. Zob. ryc. 16.


N. 17. Pończoszki dla lalki. Robota na drutach.


N. 16. Wykonanie roboty szydełkowéj do ryc. 15.

Na pasy te przykłada się odpowiedniéj szerokości pasek cienkiej tektury i odrabia odpowiedniemi krzyżykom kolorami, dwa jeden na drugim pokłady ściegu pluszowego. Jest to jak widzimy ścieg długi przekładany w środku; igłę zakłada się na dwie nitki. Każdy z dwóch na sobie będących pokładów występuje z każdéj strony o jedną nitkę kanwy, tak więc środkowa z 5 przedzielających krzyżyki nitek; zostaje wolna. Po wykończeniu roboty przecina się ścieg pluszowy przez całą długość środkiem, wyrzuca tekturę która strzegła krzyżyki od uszkodzenia, i nakoniec trzyma całą robotę nad parą, ażeby przecięte nitki powstały, zrównały się i wypełniły.

N. 23. Kubek do cygar przyozdobiony szyszkami i haftem kolorowym. Fig. 42 w dodatku. Osma część kubka. Podług fig. 42 przykrawa się 8 jednakowych części z białéj tektury, które następnie zeszywa się okrętką, dodaje tekturowe okrągłe dno od spodu następnie naszywa po brzegach, kilku rzędami pięknie oczyszczonych listków szyszek sosnowych i na środku nakleja szlaczek haftowany kolorami na suknie białym. Wnętrze wykleić papierem ołowianym.

N. 24. Deseń na pantofle lub t. p.

Zwykły ścieg krzyżowy.

N. 25 — 27. Dywanik robiony włóczką kastorową ściegiem pluszowym. Materjał, kanwa bez podziałek umyślnie do tego rodzaju włóczek wyrabiana, włóczki kastorowe, cienka tektura.

Ten rodzaj roboty krzyżowéj właściwy jest na dywaniki przed łóżka lub

N. 28 i 29. Kołnierzyk i mankiety webowe przyozdobione medaljonami haftowanemi. N. 29 przedstawia medaljon i oszycie w naturalnéj wielkości; pod haft atłaskowy w miejsce prawdziwéj koronki poddany tiul wywodzony.

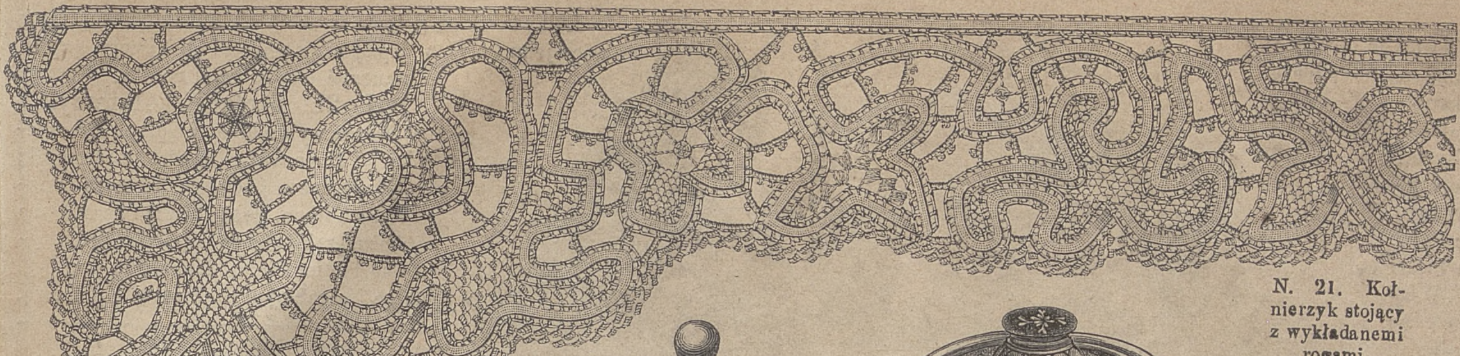
N. 30 i 31. Kołnierzyk i mankiety ze wstawkami koronkowemi, skośnie whaftowanemi. N. 31 wskazuje w jaki sposób whaftowane są wstawki w mankiet; narożnik do kołnierzyka ułożony jest z samych wstawek.

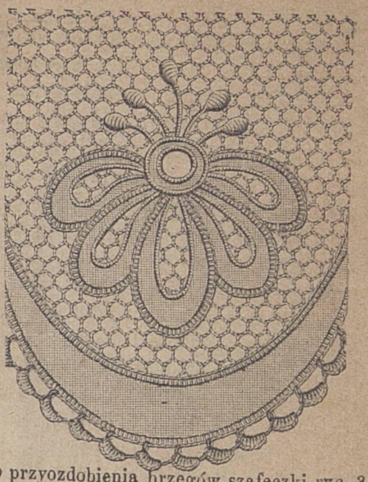
N. 32. Czepeczek na rano z tiulu i koronki. Oryginalny ten czepeczek modny był w Niemczech w czasach młodości Getego, dziś wznowiony nosi nazwę wielkiego poety. Okrągłe denko mające 20 cen. średnicy układa się w fałdki i przyszywa do czółka objętego drutem, mającego 40 cent. obwodu, 2 centym. wysokości. Z tyłu przyczepiony jest koniec 20 cent. szeroki 24 cen. długi, u góry w 5 cent. głęboką, podwójną kontrafałdę założony, u dołu zaokrąglony i koronką 3 cent. szeroką oszyty. Taż sama koronka służy do ogarnirowania czepeczka; ażeby jéj nadać układ na rysunku wska-


N. 18. Arlekin urządzony do skakania w ubraniu szydełkowa robotą.


N. 20. Lalka z pokryciem robionem na drutach. Suknia uszyta z resztek materji. Plecy do ryc. 19.


N. 19. Lalka z pokryciem robionem na drutach. Suknia uszyta z resztek materji. Zobacz plecy rycine 20.





N. 21. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami.

N. 31. Sziak do przyozdobienia brzegów szafeczki ryc. 30

zany przyszywa ją się do kawałka tiulu 3 c. szerokiego 15 cent. długiego. Czarna ak a-mitka 3 cen. szeroka, dopełnia ubranie.

N. 33. Pasek z karoczkiem spiczasto zakończonym z przodu. Krój w dodatku N. II Fig. 13.

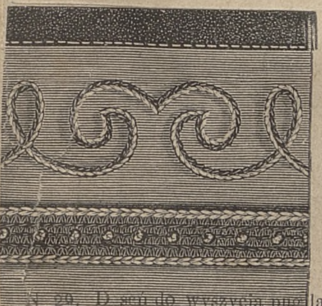
Cały karoczek przykrojony jest razem z jednego kawałka, tylko naszyciem aksamitnéj plisy odznacza się przody. Nad plisą dane wyszycie z jedwabnego sutaszu, u dołu frendzla jedwabna koloru materyi.

N. 34. Pasek z karoczkiem z przodu ściętym w zęby. Krój na dodatku N. II Fig. 11 i 12.

Oszycie karoczka stanowi wstążka rypsowa, przyozdobiona aplikacją aksamitnych liści i frendzla suta, jedwabna wiązana. Zbyteczne będzie przypomnienie, że pod karoczkiem daje się zawsze podszewkę z muślinu.

N. 35. Rękaw z mankietem. Krój N. II Fig. 10.

Na zwykłym wązkim rękawie dodany jest szeroki mankiet. Przystrajające go riusza i szeroka plisa są z materyi w prążki; wyszycie z jedwabnego sznurka i frendzla jedwabna wiązana w kwasty.



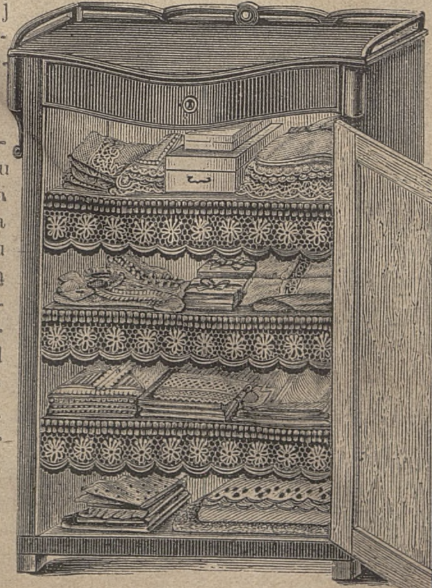
N. 29. Deseń do wyszycia pugilaresu ryc. 27.

N. 36 Rękaw z wolantem. Do łokcia sięgający rękaw wązki, dopełniony jest przyszytym wolantem, mającym 54 cen. obwodu, 15 ce. środkowéj, 11 cen. szerokości przy zeszyciu. Wolant zakończony jest szeroką czarną koronką i przybrany czarną aksamitną plisą 4 cen. szeroką z brzegów oszytą podwójną wypustką z kolorowéj materyi.

N. 37. Marynarska bluzka dla chłopczyka od lat 3 do 6. Krój w dodatku N. X Fig. 31 — 33.

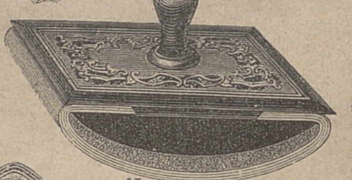
Przy sukience i majtkach z wyrobu wełnianego czarnego z białem, daje się wyszycie z taśmy białéj wełnianéj, z brzegów sutaszem czarnym oszytéj.

Oddzielnie podana bluzka z przodu w N. 50 Tyg. na ry. 31 zapina się na guziczki od spodu kryte; dziurki są odrobione w listewce 4 cent. szerokiéj, dodanéj od spodu z osobnego materjału. Pasek przymocowany do pleców, ma 4 i pół cen. szerokości. Majtki przyszyte do stanika płóciennego, zapina się z tyłu, u dołu nawłoczy elastyką.



N. 30. Szafka do rozmaitych drobiazgów. Zobacz ryc. 31.

N. 38 i 39. Opisy i kroje w dodatku.



N. 24. Przyrząd do wycierania piór. Malowanie na drzewie.



N. 23. Kałamarz kryształowy w osadzie drewnianéj. Malowanie na drzewie.



N. 25. Nóż do przerzynania kartek. Zobacz desenie w dodatku od N. 24 do 27



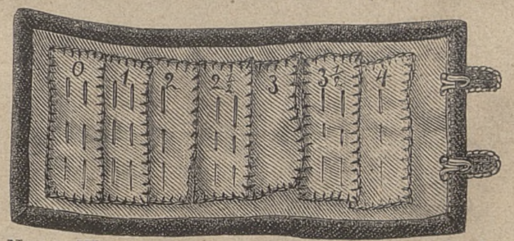
N. 22. Teka na papiery. Malowanie na drzewie. Zobacz N. 24 do 27 w dodatku z deseniami.



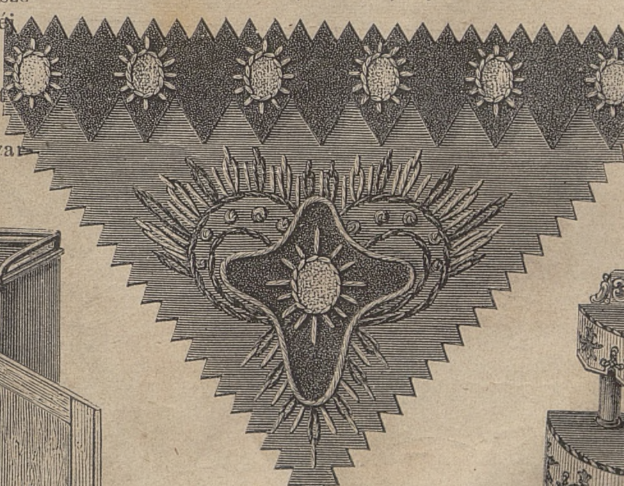
N. 26. Linja. Malowanie na drzewie. Zob. desenie w dodatku od N. 24 do 27.



N. 27. Pugilares na igły do szycia na maszynie.



N. 28. Wewnętrzne urządzenie pugilaresu na igły, do szycia na maszynie. Do ryciny 27.



N. 33. Część lambrekiny do stoliczka rycina 32.



N. 32. Stoliczek do pisania i do książek. Zobacz deseń na lambrekinę ryc. 33.

Opis do N. 51.

N. 1. Kołnierz szmizetkowy i mankietki z koronki irlandzkiéj.

Do N. 2, 3, 4 opisy i kroje w dodatku.

N. 5 i 6. Suknia jedwabna z tiuniką i chusteczką muślinową. Deseń haftu podaje N. 6.

Chusteczka jest zwykłą krzyżówką, któréj brzegi proste mają 70 cen. długości, a skośny brzeg do szyi obrócony w środku, w fałdy zaszyty. Co zaś do haftu złożonego z owali stykających się z sobą, ten odrobiony być może ściegiem łańcuszkowym i stębnowanym, w ręku lub w tamborku, w tym ostatnim łańcuszek robi się igłą szydełkową. Szerokie muślinowe wolanty przy krótkich rękawkach dopełniają całości, a kokardy z kolorowéj wstążki podnoszą świeżość ubrania.

N. 7. Bukiet na lambrekinę do poduszki na okno. Całość lambrekiny w N. 48 Tyg. Mód rycina 18.

N. 8—20. Formy korpusów dla lalek z powleczeniem robotą na drutach. Krój w dodatku N. XVII F. 43—45.



N. 34. Szlak do kubka na cygara. Rycina 23 w Tyg. Mód N. 50.

Materjał. włóczka angielska koloru cielistego, trochę włóczki pąsowéj, niebieskiéj, czarnéj orzechowéj i białéj. Czarny i żółty jedwab, trochę czarnych perełek, karmin, sznureczek gumowy, kawałki różno kolorowéj materyi, wata, trociny i pięć drutów jak do cienkiéj bawełny.

W miéjsce porcelanowych i woskowych lalek z drewnianemi lub irszanemi korpusami, zagranicą bardzo są obecnie upowszechnione lalki małe robione na drutach, mają one tę zaletę że się nie tłuką i mało kosztują, a są do zabawy dogodniejsze zwłaszcza dla małych dzieci; wymagają one jednak dużej wprawy i zręczności do robót na drutach.

Korpus przykroić wypada podług Fig. 43 —45 zeszyć mocno i wypchać trocinami. Głowę i szyję odrobić osobno wypchać watą i połączyć z korpusem. Potem odrobić na drutach po-

leczenie z włóczki cielistéj; na oczy zostawić otwory w óre wszyć czarną perełkę nawleczoną na nitkę białą. sta obrobić szydełkiem jedwabiem karminowym, ząbki przeszyć białym jedwabiem. szy także dorobione szydełkiem. Kształt adaje się przez stosowne przybieranie i guenie co dokładnie oznaczone jest na rysunku. rwi i rzęsy odznacza się włóczką czarną lub asztanowatą; włosy arlekina z włóczki zarnéj rozczesanéj i w pukle układanéj. Włoy blond u lalek ze lnu wyczesanego, czarne pokrzywkowego niekręconego jedwabiu ub rozczesanéj włóczki. Ubranie arlekia robione jest szydełkiem z włoczki pąowéj i zielonéj, lub niebieskiéj; sukienki alek z materji w kratę lub gładkie, przytrojone aksamitem. Rumieńce namalowane karminem. Arlekina można za pomocą sznureczka elastycznego urządzić do skakania.

Lalki takie są gotowe w sklepach zabawek, kupiwszy więc jedną można lepiéj niż z najdokładniejszego opisu nauczyć się sposobu roboty.

N. 21. Stojący kołnierzyk z końcami wykładanemi. Koronka irlandzka. Ponieważ u nas tasiemeczki koronkowe są drogie i mało upowszechnione, desenie więc koronkowe można z łatwością odrabiać na batyście lub muślinie, dziergając kontury, wycinając i zarabiając tło kratką gipiurową.

Korespondencja.

Pani A. Os. Brakujące numera Tygodnika Mód kosztować będą rs. 2.



N. 35. Sukienka w kliny z tuniką dla dziewczynki od 2 do 5 lat. Krój i opis w dod. N. IX Fig. 25—29.

N. 36. Marynarska bluzka dla chłopczyka od 3—6 lat. Krój w dod. N. X Fig. 30—33.

N. 37. Suknia z tuniką i karoczkiem dla małéj dziewczynki.



N. 38. Stauik z baskiną dla dziewczynki od 5 do 8 lat. Krój i opis w dodatku N. VIII. Fig. 22—24. Zobacz ryc. 39.



N. 39. Stanik z baskiną dla dziewczynki od 5 do 8 lat. Krój i opis w dodatku N. VIII Fig. 22—24.

Dalszy ciąg opisu N. 51 nastąpi w dodatku N. 52 Tyg. Mód.



N. 40 i 41. Ubrania dla małych dziewczynek. Bluzki krajane z tuniką. Krój i opis w dodatku N. VII. Fig. 20—21.



N. 42. Luźny kaftanik z czarnéj grenadiny, garnirowany koronką. Plecy do ryciny 43. Krój i opis w dodatku N. IV Fig. 14—17.



N. 43. Luźny kaftanik grenadinowy z karoczkiem. Przód do ryc. 42. Krój i opis w dodatku N. IV Fig. 14—17.

Dodatek do Nr. 50 i 51 Tygodnika Mód w Warszawie.

1871 roku

Wzory do aplikacyi, haftu atłaskowego, dzierganego, wyszycia sutaszem lub ściegiem łańcuszkowym.

Tak w dodatkach do Tygodnika jak i na obecnym arkuszu, podajemy najwięcej wzorów do roboty dzierganej na płótnie niewarowem lub przy różnych rodzajach aplikacyj. Zasługuje onabowiem na upowszechnienie jako nader łatwa, pośpieszna, nie kosztowna i do najrozmaitszych przedmiotów służąca. Najpierw opisujemy ryciny 3—11, zamieszczone w nr. 50 Tygo: mód które zawierają wszelkie szczegóły i objaśnienia tej roboty dotyczące.

Poduszka okrągła.

Ryc. 3—4 w nr. 50 Ty. mód,

Materjał: płótno brunatno szare, jedwab odpowiedniego koloru, koronka gipiurowa, materja lub atłas kolorowy- Podług wzoru naturalnej wielkości podanego na ryc. 3 w nr. 50 Tygodnika, dzierga się jedwabiem na płótnie koło do poduszki, którą już wykończoną przedstawia ryc. 4 Robota wydaje się bardzo ładnie na podłożeniu z niebieskiego atłasu, któregoo okrąg kraje się o tyle większy iżby brzegiem tworzył bufę. Koronka do garnirunku powinna być tego co płótno koloru, odrobiona z nicianego kordonku sposobem szydełkowym lub frywolitowym.

Haft podobny służyć może również na patarafkę lub t. p.

Okrągły koszyczek do robót.

Rycina 5 - 6 w nr. 50 Ty. mód

Materjał: biały jedwab, złote nici, materja kolorowa.

Pokrycie na denko do koszyczka wyszywa sąię na kolorowej materyi jedwabiem i nitką złotą, podług wzoru pod nr. 5 w nr 50 Tyg; środkowy bukiecik, zamieszczony jest na obecnym arkuszu pod nr. 28. Kielich i listki kwiatków obrobione są ściegiem sznureczkowym i obwiedzione na zewnątrz złotą nitką; środek zapełnia kratka z cienkiego jedwabiu, na krzyżowaniu spajana drobnym przez wierzch danym ściegiem. Liście haftuje się ściegem płaskim, grubym jedwabiem i przyozdabia żyłkami złotemi. Wązki kawałek materyi złożony podwójnie przydzierguje się w koło haftowanego okręgu i wysiepuje z brzegów aż do dziergania. Takaż strzępiona riusza z materyi, przeszyta rulonikiem otacza koszyczek. Kokardy mogą być z materyi lub wstążki

Serwetka na stolik lub komodę ze szlakiem ażurowym.

Do serwetki w nr 50 Tygo. pod nr. 7 podanej, ryc: 5 obecnego arkusza, przedstawia odpowiedni deseń i wskazuje wyraźnie sposób roboty, która może być na webowym płótnielub półbatyście wykonaną. Pod taką serwetkę można dodawać kolorowe podłożenie.

Krzesło z wałkiem do opierania.

Przyozdobione haftowanemi pasami. Ryc. 8 i 9 w nr: 50 Tygodnika mód:

Materjał: Płótno szare gładkie i w pasy, taśma czarna jedwabna i biała pikowa, jedwab czarny, atłas kolorowy. Ryc: 9 w nr: 50 Tygo: podaje o ½ zmniejszony deseń pasów, które mimo taniości materjału i łatwej roboty są ładne i służyć mogą do przyozdobienia całych garniturów mebli, jako też portjer lub poduszek na okna. Deseń odrabia się na płótnie w pasy nierównej szerokości; pod haft środkowy wypada szeroki pas popielaty, na wązkich zaś białych z brzegów idących daje się wyszycie długim krzyżowanym ściegiem, jedwabiem czarnym. Szlak środkowy robi się ściegiem na dwie strony dzierganym, wycina w miejscach ciemniej na deseniu oznaczonych i podkłada atłasem zielonym, który wypuszczony z brzegów stanowi jak to widziemy pliskę podwójną odstającą. Do tych plisek przytwierdza się haft taśmą czarną jedwabną: Na pokrycie siedzenia i wałka użyte jest płótno żółtawe, ładnie od popielatego tła haftu odbijające.

Przykrycie na stoliczek do robót.

Rycina 10 i 11 w nr. 50 Tygodnika.

Dzierganie na płótnie żółtawo niewarowym. Materjał: płótno żółtawe, jedwab tegoż koloru, biała webowa lub koronkowa tasiemka, atłas lub materja kolorowa. Przy żółtawem tle szlaku bardzo dobrze odbija rodzaj ramki z tasiemeczki koronkowej lub webowej białej, (tę ostatnią potrzeba z obydwóch stron obrobić krateczką) w równych odstępach wyszytej w muszki, nićmi białemi płaskiemi. Odziergawszy kontury deseniu jedwabiem, wycina się starannie zbywające tło i podkłada atłasem zielonym. Brzegi poprzeczne przykrycia oszyte są frendzlą nicianą 5 cent. szeroką.

Nr. 1—4 Desenie na dwie lambrekiny dużych rozmiarów służące do drzwi, okien i t. p.

Stosownie do przeznaczenia deseń może być odrobiony na suknie, rypsie lub innej materyj w dwóch odcieniach, lub na płótnie z kolorowem podłożeniem Nr. 2 i 4 przedstawia całą lambrekinę w zmniejszeniu.

Nr. 5 Narożnik do przykrycia na stoliczek.

Nr. 6—7 Deseń na poduszkę okrągłą do kanapy, lub na środek do serwety na stół. Jako narożnik służyć może nr. 5.

Nr. 8—10 Desenie na lambrekiny do drzwi lub firanek, także na pokrycie stołów lub t. p. Jako tło służy stosowna wełniana materja lub sukno, na którym daje się aplikacją w odcieniu ciemniejszym lub jaśniejszym. Sposób roboty, użycie plecionki lub sutaszu wełnianego w odpowiednim kolorze dokładnie wskazuje rysunek. Nr. 9 przedstawia w zmniejszeniuserwetę zeszlakiem nr. 8 na której gwiazda środkowa ułożona jest z 8 zębów deseniu.

Nr. 11 Narożnik do haftu kolorowego na kaftaniki, paletoty lub t. p.

Nr. 12 Część kołnierzyka stojącego.

Nr. 13 Deseń na kołnierzyk wykładany.

Nr. 14 Narożnik do krawatki batystowej.

Nr. 15 Narożnik do krawatki. Aplikacja muślinu na tiulu.

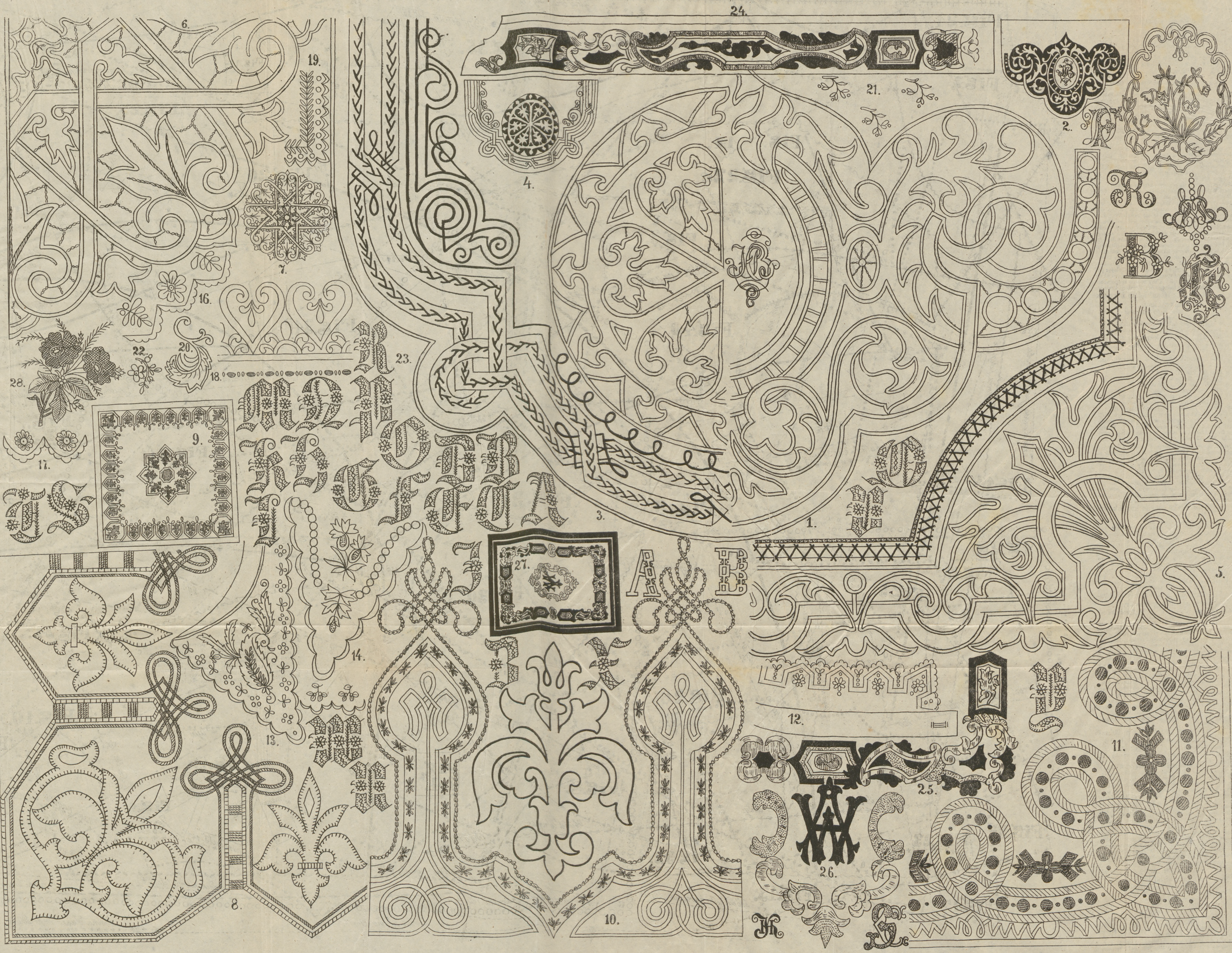
Nr. 16—19 Wązkie szlaczki do bielizny.

Nr. 20—22 Rzuciki na tło do bluzek, czepeczków i t. p.

Nr. 23 Różne litery do znaczenia chustek i bielizny.

Nr. 24 - 27 Deseń na tekę.

Nr. 28 Bukiecik do ryciny 5 i 6 w nr. 50 Ty: mód.



Nr. I. Suknia z trenem.

stanik z bawetem i karoczek Ryc. 39 w nr. 50 i ryc. 8 w nr. 51 Tygodnika Mód.

Fig. 1 Przód stanika (A,B,E,F).
Fig. 2 Boczek (A,B,C,D).
Fig. 3 Połowa pleców (C,D,E,F,G).
Fig. 4 Połowa karóczka (G. 1 i 1 aż do 3 3).
Fig. 4-a Połowa części dopełniającej karoczek, (G. 4 4).
Fig. 5 Połowa bryta przedniego (H. 5).
Fig. 6 Klin boczny do przodu (G,I. 5).
Fig. 7 Klin drugi (I,K).
Fig. 8 Bryt tylny (K).
Fig. 9 Zestawienie pojedynczych części spódnicy i wskazanie sposobu oszczędnego krajania.

Spódnica z długim trenem z materji faille w kolorze lila, bez żadnégo garnirunku; stanik z przodu zakończony bawetem, z tyłu długim stopniowanym karoczkiem, wyszyty sutaszem i oszyty sutą frendzlą. Podłużny wykrój stanika przyozdobiony wyszyciem naśladującem kołnierz.

Do mniej strojnego ubrania, suknia taka może być odrobiona z dobrej wełnianej tkaniny, a do domowego ubrania z lekkiego sukienka. Forma stanika dopasowana jest do średniego wzrostu i wysmukłej figury; połączenie pojedynczych części oznaczone dokładnie, dodać więc tylko potrzebujemy, że bawet oszywa się sznureczkiem skosem objętym, i dodaje giętki fiszbin przy zapięciu przodów, aż do wysokości drugiego guzika.

Suknia ta zaleca się pięknym krojem spódnicy i ułożeniem fałdów oraz oszczędnością, byle tylko materja była gładka lub dozwalająca się obracać.

Mały rysunek fig. 9 wskazuje jak układać formę, ażeby krając spódnicę z materji 60 cent. mającej szerokości, prawie wcale nie ścinać kawałków. Jakkolwiek ułożenie fałdów oznaczone jest na formie, szczególną jednak wypada zwrócić uwagę, ażeby właściwie przyszyć je do paska, bo od tego zręczne drapowanie sukni zależy. Chociaż podaliśmy dla braku miejsca tylko górne części spódnicy, przedłużenie jednak brytów stopniowe formowanie trenu, dokładnie na nich jest oznaczone. Kliniki do tylnego brytu, których końce śpiczaste są gwiazdką na fig. 8 oznaczone, krają się przy brycie przednim przedłużając podług oznaczonej miary i rozszerzając ku dołowi aż do połowy szerokości materji. Kliny boczne są sposobem na fig. 9 oznaczonym, z jednego bryta materji krajane.

Nr. II. Rękaw z mankietem i pasek z karoczkiem.

Ryc. 34 i 35 w nr. 50 Tyg. Móg.

Fig. 10 Połowa mankieta.
Fig. 11 Przednia część karoczka (L,M).
Fig. 12 Połowa tylnej części karoczka.

Nr. III. Pasek z karoczkiem.

z przodu w ząb śpiczasty zakończonym.

Fig. 13 Połowa karoczka

Nr. IV. Luźny kaftanik z karoczkiem.

Ryc: 42 i 43 w nr: 51 Tygodnika Mód.

Fig. 14 Przód (N,O,S,T,U).
Fig. 14-a Rysunek zmniejszony przodu.
Fig. 15 Boczek (N,O,P,Q,R).
Fig. 15-a Rysunek zmniejszony boczka.
Fig. 16 Połowa pleców (P,Q,R,S,T)
Fig. 16-a Zmniejszony rysunek pleców.
Fig. 17 Zmniejszony rysunek rękawa (U).

Ryc. 42 i 43 przedstawia z przodu i z tyłu, kaftanik tiulowy lub grenadinowy w plecach trochę wcięty z przodu luźno puszczony, który przy tiunice grenadinowej nawet na sukni jedwabnej ładną tworzy całość. Ryc. 42 przedstawia kaftanik z grenadiny w rzucik, ogarnirowany koronką i riuszą z materji 5 cent. szerokiej z brzegów wysiepaną. Kaftanik na ryc. 43 jest z koronkowego tiulu, taką jak poprzedni riuszą i koronką przybrany. Kokardy ze wstążki rypsowej przystrajają obadwa kaftaniki.

Co do kroju nadmieniemy tylko że fałdy karoczka układają się podług kropek i krzyżyków i do pleców przyszywają, boczki zaś wszyte być powinny szwem delikatnym i nieznacznym. Rękaw łatwo może być dopasowany podług małego wzoru fig. 17.

Nr. V Chusteczka czarna koronkowa.

Ryc. 2 w nr. 51 Tygodnika.

Fig. 18 Połowa chusteczki.

Małe chusteczki z koronkowego tiulu w koło oszyte koronką upowszechniają się bardzo, zastępując krawatki lub żaboty. Fig. 18 podaje takąż chusteczkę trochę zaokrągloną z końcami przedłużonemi z przodu. Przedstawione na ryc. 2 szerokie czarne koronkowe mankiety dopełniają przybranie rękawów. Dolny brzeg chusteczki oszyty jest koronką 6 cent. szeroką, wykrój pod szyją koronką 2 centymetry szeroką. Z tyłu na środkowem przefałdowaniu i na spięciu końcy, dane są kokardy z czarnej 2½ cent. szer. aksamitki. Takież kokardy zdobią mankiety.

Nr. VI Chusteczka z czarnej jedwabnej krepy lub grenadiny.

Ry. 38 w nr, 50 i ryc. 4 w nr. 51 Tygodnika

Fig. 19 Połowa chusteczki.

Podług powyższej formy odrobiona chusteczka i tiunika czarna, służyć może do sukien jedwabnych wszelkich kolorów. Do materyi jasnych, robić je także można z grenadiny popielatej lub écru albo z białego linon z dodaniem koronek białych. Ryc. 38 przedstawia samą chusteczkę oddzielnie, i pokazuje wyraźnie naszycie na przemian z koronki i plisek jedwabnych, oraz piękne zakończenie wykroju pod szyją. Na ryc. 4 w nr. 51 przedstawiona tiunika, złożona jest z pojedynczych części; wykroić ją można podług formy spódnicy do ryc. 3 w nr. 51 Tygodnika Mód podanej. Tak chusteczka jak i tiunika na ryc: 4 ogarnirowana jest falbaną oszytą wązką koroneczką; nad falbaną w miejsce nagłówka daną plisa z materyi, haftowana w deseń arabeskowy. Bardzo ładny garnirunek zwłaszcza do sukien jasnych kolorowych, stanowi koronka z przyrobioną frendzelką jedwabną tego co suknia koloru.

Nr. VII Vêtement ze stanikiem bluzkowym dla panienek od lat 8 do 10.

Ryc. 40 i 41 w nr 51 Tygodnika Mód.

Fig. 20 Połowa przodu wraz z tiuniką (V, W, X, Y, *).
Fig. 21 Połowa pleców z tiuniką (V, W. X, Y)

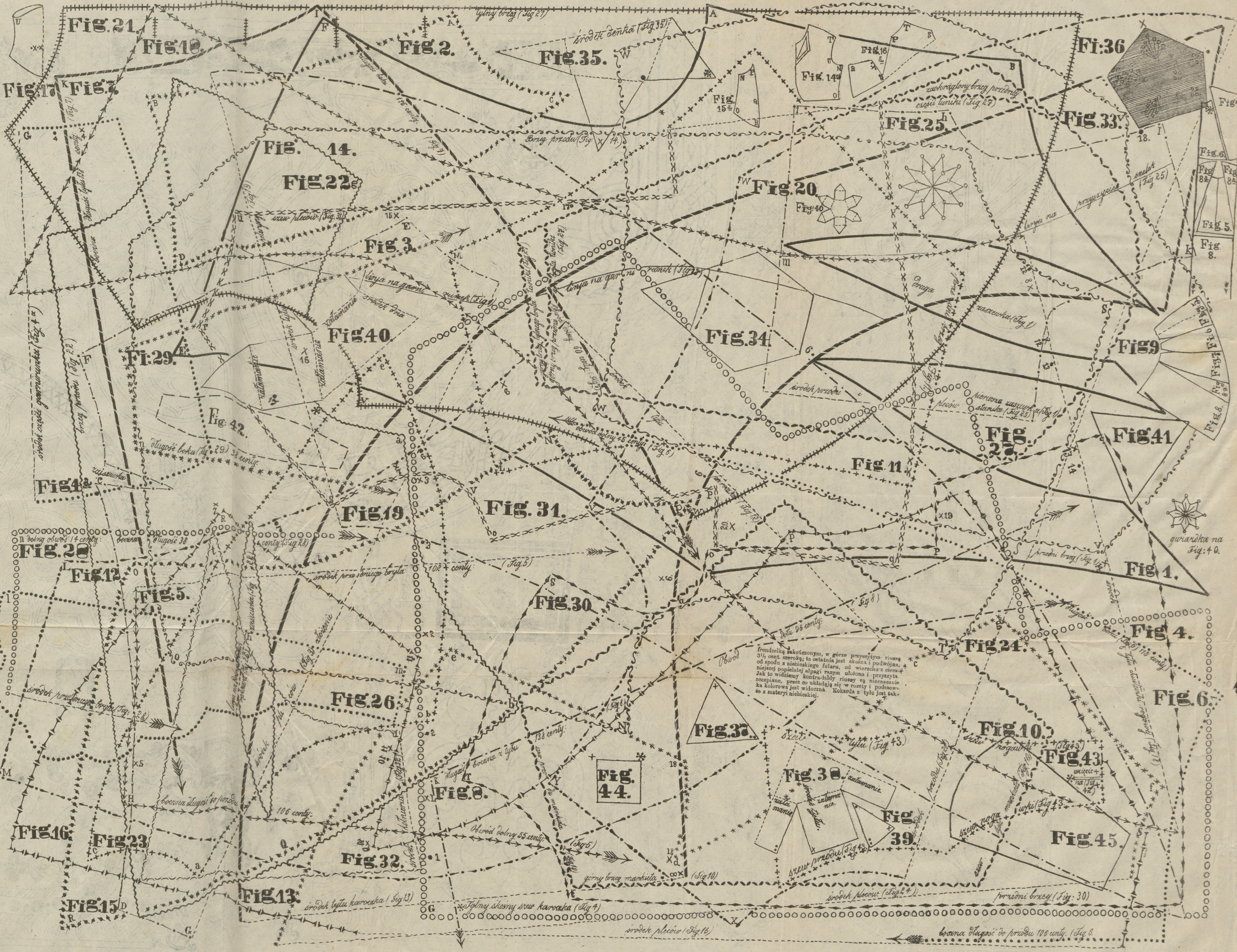
Ten rodzaj staników dla małych panienek zaleca się praktycznością i dogodnością, łatwy jest bowiem do odrobienia i dłużej służyć może niż stanik do figury, z którego bardzo prędko wyrastają. Pod spód kładzie się staniczek gładki płócienny, a bluzka z tyłu zapinana przepasuje się paskiem. Ryc. 24 podaje z przodu sukienkę w drobną kratkę, której spódniczka jest zupełnie gładka, a tiunika u bluzki ogarnirowana plisą z materjału w pasy, zakończoną z brzegów riuszą tak jak suknia. Sukienka przedstawiona z tyłu na ryr. 40 jest z gładkiéj alpagi, z wolantami skośnemi marszczonemi, przeszytemi rulonikiem, pliską czy torsadką czarną lub kolorową. Rękawy dobrać można stosownie do gustu obcisłe lub szerokie, między różnemi formami, podanemi na poprzedzających arkuszach dodatkowych z bieżącego kwartału.

Nr. VIII Stanik pod szyję z karoczkiem dla panienki od lat 6 do 8.

Ryc 37—38 w nr 51 Tygodnika Mód.

Fig. 22 Przód stanika (a, b, f, g).
Fig. 23 Boczek (a, b, c, d, e).
Fig. 24 Plecy (c, d, e, f, g).

Rycina 37 - 38 przedstawia dwie sukienki odrobione podług powyższego kroju, ale różniące się kolorem i rodzajem garnirunku. Nr. 37 jest z alpagi koloru écru z pliskami 3 cent. szer. w dwóch ciemniejszych odcieniach i frendzelką wiązaną tegoż co suknia koloru, nr. 38 podaje sukienkę popielatą garnirowaną wolantem 6 cent. szerokim u dołu siepaną



frendzelką zakończonym, w górze przyszytym riuszą 3½ cent. szeroką; ta ostatnia jest skośna i podwójna, od spodu z niebieskiego fularu, od wierzchu z ciemniejszej popielatej alpagi razem ułożona i przyszyta. Jak to widziemy kontra-fałdy riuszy są nieznacznie zczepiane, przez co układają się w rozety i podszewka kolorowa jest widoczna. Kokarda z tyłu jest także z materyi niebieskiej.